

# aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

NUMER 60 marzec - kwiecień 2007  
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł







Postać podwojona, 2001

## aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

### Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dra Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
www.biblioteka.czest.pl

### Redakcja

Aleje NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.  
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania  
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają poglądy Redakcji

### Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505-666-486  
mprawinis@poczta.onet.pl

### Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

### Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie  
www.sowadruk.pl  
tel. (0-22) 431-81-40

Publikacja współfinansowana  
przez Samorząd Woj. Śląskiego



Niedawna akcja medialna dotycząca tożsamości Częstochowy, poruszyła wielu mieszkańców i wiele środowisk. Ujawniły się przy tym rozmaite postawy wobec miasta, od uwielbienia do skrajnej negacji.

W dyskusjach o tym, czy Częstochowa jest ładna czy brzydka, prowincjonalna czy światowa, ma przyszłość świetlaną czy mroczną, najbardziej widoczny wydaje się prowincjonalizm.

Prowincjonalizm to „zaściankowość, parafiańszczyzna” (W. Kopaliniński). To sposób myślenia niezależny od odległości do stolicy, a i nie dotyczy tylko miast poniżej pewnej liczby ludności. Prowincjonalizm, to przede wszystkim stan umysłu i ducha. Jedno miasto może być prowincjonalne, choć liczy ćwierć miliona mieszkańców jak nasze, a inne nie jest prowincjonalne, choć mieszka w nim tylko 120 tys. osób (np. Oxford).

W ramach wspomnianej akcji medialnej odbyło się, dość żalodne w skutkach, poszukiwanie nowych symboli dla polskich miast. Takie symbole nazwano ikonami, zapewne wywodząc pojęcie z języka kultury masowej. I okazało się, że mamy w Polsce miasta, których ikoną jest nie tylko zabytkowy rynek lub zamek, ale i klub sportowy czy polityczna wanna. Szczęśliwie, w plebiscycie dotyczącym Częstochowy najwięcej głosów uzyskała Jasna Góra, choć nie wszyscy zauważyli, że Ikonę, tę najprawdziwszą, leżącą u źródeł samego określenia, mamy tu od wieków.

Okazało się też, że Częstochowa mało komu się podoba. Nie zachwyca architekturą, może nawet niczym nie zachwyca - poza Jasną Górą. Trwają jednak poszukiwania nowego, lepszego symbolu dla naszego miasta.

Nie umiemy właściwie ocenić tego, co jest oczywistym powodem do naszej dumy. W dyskusjach słychać na przykład: stwórzmy rynek, jak we Wrocławiu lub Poznaniu, bo tutaj nie ma gdzie spokojnie pospacerować! W innych miastach rynek powstawał przez setki lat, my zbudujemy go w dwa lub trzy? Z cegły dziurawki i papieru? A wtedy przestaniemy być prowincją? Ponieważ będziemy mieli coś, co nas wyróżni? Można, idąc na uroczystą premierę do teatru, założyć złoty łańcuch na bluzę od dresu lub brylantową kolie do kaloszy. Czy wówczas będziemy postrzegani jako światowcy?

Żaden symbol nie przebije Jasnej Góry. To nasza, częstochowska ikona, odwieczna, budowana przez sześć wieków. Przetrwą jeszcze więcej stuleci, bo to nie tylko miejsce, ale przede wszystkim duch i legenda, a nie ma rzeczy trwalszych od legendy.

Nie dość powtarzać za starożytnymi: nie kocha się miasta za to, że jest wielkie, ale za to, że jest nasze. I nie dość przypominać, że Ateny nigdy nie były największym miastem antycznej Hellady. A były przecież najważniejsze i najbardziej godne podziwiania.

Częstochowa, trwale osadzona wokół Jasnej Góry, to nasze miejsce, nasze miasto. Nasza matka. Nie wolno się wstydzić matki nawet wtedy, gdy jest stara, brzydka i niewykształcona. A cóż dopiero, gdy jest mądra, najlepsza i najpiękniejsza. Tylko głupi sztubak będzie szukał matki zastępczej, żeby się nią pochwalić przed kolegami.

Nieważne, jak bardzo będziemy się nadymać - dla świata jesteśmy ledwie błotem, w którym leży perła pierwszej wielkości. Nie mówmy: to wprawdzie perła, ale i w tym błocie są rodzyнки. Przeciwnie, mówmy: może to i błoto, proszę państwa, ale popatrzcie na perlę. To dla niej wszyscy tu przyjeżdżacie.

*Marian Piotr Rawinis*

## RADOŚĆ SZTUKI

Z artystą malarzem Marianem Pankiem rozmawia Piotr Głowacki

*Co decyduje o tym, że się zostaje artystą? Czy jest jakiś Wielki Plan czy też zwyczajny zbieg okoliczności?*

Tak naprawdę, to nie wiem jak odpowiedzieć na to zasadnicze i podstawowe pytanie. Po prawie czterdziestu latach ustawicznych prób tworzenia w różnych dziedzinach sztuki myślę, że dla mnie impulsem do działań artystycznych była przede wszystkim niezgoda na zastaną rzeczywistość w PRL-u. Myślę również, że ukształtowałem swoje zainteresowanie czytając Franza Kafkę, Dostojewskiego, Edgara Allana Poe, Joyce'a, chodząc do teatru, interesując się sztuką – generalnie malarstwem i powikłanymi losami artystów z przełomu XIX i XX wieku. Otarłem się o rok 1968, o wydarzenia w Polsce i w Europie. Nad moją głową przelatywały wojskowe samoloty w kierunku Czechosłowacji. Byłem przygnębiony wtedy tymi wszystkimi pacyfikacjami ruchów wolnościowych. Wietnam, zabójstwa polityczne, bezsens życia w zniewolonej komunistycznej Polsce. Bunt beznadziei – to spowodowało a właściwie pchnęło mnie na ścieżkę sztuki. Wcześniej interesowałem się fizyką i matematyką, zawsze próbowałem rozwiązywać zadania różnymi sposobami. Była we mnie duża doza kreatywności. Byłem wrażliwy, uparty, samodzielny i ambitny. Inaczej komentowałem rzeczywistość. Szalenie dużo chodziłem do kina, zdarzało się, że dwa, trzy razy dziennie. Pisałem poezję do szuflady. Mając 16 lat zaraziłem się malarstwem. Podziwiałem Lenona i Picassa. Nie byłem też sam – chodziłem do ciekawej klasy w Liceum im. Romualda Traugutta. Miałem wielu przyjaciół, którzy też mieli rogate dusze. Uważam, że gdy raz wejdzie się do rzeki o nazwie sztuka – to ciężko jest walczyć z jej rwącym nurtem. Ja się dałem porwać za młodu. Czy to był, jak nazwałeś, Wielki Plan? Chyba muszę się przychylić do tej opinii. Ja nie miałem już innego wyjścia, byłbym - gdybym nie wybrał sztuki - prawdopodobnie tak sfrustrowany, że musiałbym wyjechać gdzieś daleko i uciec przed samym sobą. Wielokrotnie, mając 15-16 lat, wyjeżdżałem do Krakowa. Zakochałem się w tym mieście, było inne niż Częstochowa, promieniowało inną energią. Teraz wiem, że działało na mnie jak silny magnes. Akademia Sztuk Pięknych, Uniwersytet Jagielloński, muzea, galerie, teatry, Piwnica pod Baranami, Jama Michalika, Jaszczury, Wielki Rynek, Planty - to wszystko tworzyło krakowski unikalny spleen. Wielka rzeka sztuki, tradycji, świeżego wiatru, innego oddechu. No i odwieczne marzenia, by być artystą, tworzyć, kreować...



*Co jest ważne w życiu poza sztuką? Czy możliwe jest, w Twoim przypadku, jest życie bez sztuki?*

W życiu ważnych jest wiele rzeczy: kochający i mądrzy rodzice, dobre wychowanie i wykształcenie, interesujący nauczyciele, samodzielność oraz budowanie własnej przestrzeni odniesień do rzeczywistości. Na pewno ważna jest silna duchowość w powiązaniu z dobrymi energiami, zdrowie, umiejętność realizacji własnych celów w grupie np. w sporcie, szczęście, miłość, autorytety, wrażliwość, inteligencja. Ten szereg podstawowych ważnych składników indywidualnego życia – oczywiście poza sztuką - w moim wypadku można uzupełnić o miejsce urodzenia i jego czas. Sztuka w całości jest dla mnie imperatywem kategorycznym, samonapędzającą się duchową energią. Intelktualna strona sztuki w powiązaniu z kreacją, z procesem rodzenia się dzieła, daje wiele radości. A ja mogę powiedzieć nawet o krótszych czy dłuż-

szych stanach euforii, kiedy zapomina się o czasie, problemach dnia codziennego i przysłowiowych rachunkach. Ale rachunki trzeba niestety płacić w różnej postaci. Pasja poznania, podróże, zwiedzanie zabytków, starych miast, galerii o różnych profilach a równocześnie kontakt z naturą, z jej pięknem, wielością i różnorodnością zjawisk, to daje następne możliwości poszukiwań artystycznych. Inspiracje są tak samo ważne, jak ciągła gotowość do twórczych zadań. Podziwiam przyrodę za jej wewnętrzną harmonię, odwieczny kosmiczny rytm. Dobrze czuję się w wiejskich klimatach. Często odwiedzam okolice Olsztyna i Sokolich Gór oraz nadwarciańskie meandry w okolicach Kępowizny.

*Czy życie prywatne nie cierpi z nadmiaru poświęcenia czasu sztuce?*

Myślę, że jest to do pogodzenia - ta moja prywatność i działania w przestrzeni publicznej. Kiedyś to rozgraniczenie było trudniejsze - teraz kiedy nie pełnię żadnych funkcji administracyjnych, jest o wiele łatwiej. Wyrażam swoje opinie silniej, mam mniej ograniczeń i nie muszę się martwić, czy jestem człowiekiem woje-

wody albo prezydenta. Kiedy pełniłem funkcje, zawsze próbowano mi przeszkadzać, bo prowadziłem własną politykę opartą o szersze rozeznanie w świecie sztuki, a nie zaściankowe hreczkosiejstwo. Przeraza mnie ciągle obecny koniunkturalizm w polityce kulturalnej miasta. Urzędnicy od kultury ciągle tęsknią za propagandową reprezentacją osiągnięć miasta, a nie zastanawiają się nad strategią rozwoju nowych form życia artystycznego, np. nowych instytucji kultury takich jak Interdyscyplinarne Centrum Nowoczesności, które częstochowska Zachęta pragnie programowo realizować w rozbudowanej Konduktorowni. Miasto, tak jak dawniej, chce sukcesów we wszystkich dziedzinach za darmo. Chwali się miejscowymi artystami, ich osiągnięciami - właściwie nic im nie proponując w zamian. Wydaje się, że stosuje ostracyzm wobec twórców niezależnych. Automatycznie w ten sposób cenzuruje miejskie życie kulturalne. Stowarzyszenia wspiera się szcątkowo, są to jakieś śmieszne sumy w postaci - można to tak nazwać - jałmużny. Jest wiele ciekawych inicjatyw i projektów w stowarzyszeniach, w których udziela się elita intelektualna i artystyczna Częstochowy. Miasto ma ciągle „kłopoty”, bo elita nie chce „odpuścić”



Fort 73, Gdańsk. Happening w przestrzeni miejskiej

# PLASTYKA

i chce pieniędzy na swoje realizacje – tak jak to powinno być w każdym normalnym mieście. Tak naprawdę to dziesięciokrotnie wyższe nakłady dla stowarzyszeń, w wysokości przynajmniej 3 milionów złotych (a nie 300 tysięcy) należą się tej elicie, by nie miała coraz większych kompleksów wobec artystów z Katowic, Kielc, Opola, Bielska, Bytomia czy Gliwic. Najgorzej jest z edukacją dzieci i młodzieży. Większość stowarzyszeń o tym zapomina, bądź ma inne cele, które są „ważniejsze”. Częstochowska Zachęta o młodych ludziach nie zapomina, czego dowodem jest program dla Interdyscyplinarnego Centrum Nowoczesności. Wracając do sensu Twojego pytania – uważam, że życie prywatne kiedyś przestaje być prywatne. Oczywiście, pewne jego aspekty stają się publiczne, inne są wciąż chronione. Im bardziej się angażujesz, tym bardziej się obnażasz. Ta reguła niestety pokazuje, że prawdziwa sztuka jest bezwzględnie wymagająca i uczy nas pokory i wewnętrznej czystości. Pokazuje nas z różnych stron, „prześwietla” naszą duszę. Wszystkie indywidualne działania stają się osobistą dramą – życiowym dramatem, są znakiem, impulsem dla innych – tworzą się nowe relacje. Utrwalają się nasze obecności w różnych sytuacjach wymagających wartościowania. Mówiąc za Grotowskim, tajemnica to również jej odkrywanie, to także działanie. A on zawsze podkreślał źródłowe znaczenie tego słowa: greckie „drama” znaczy wprost działanie.

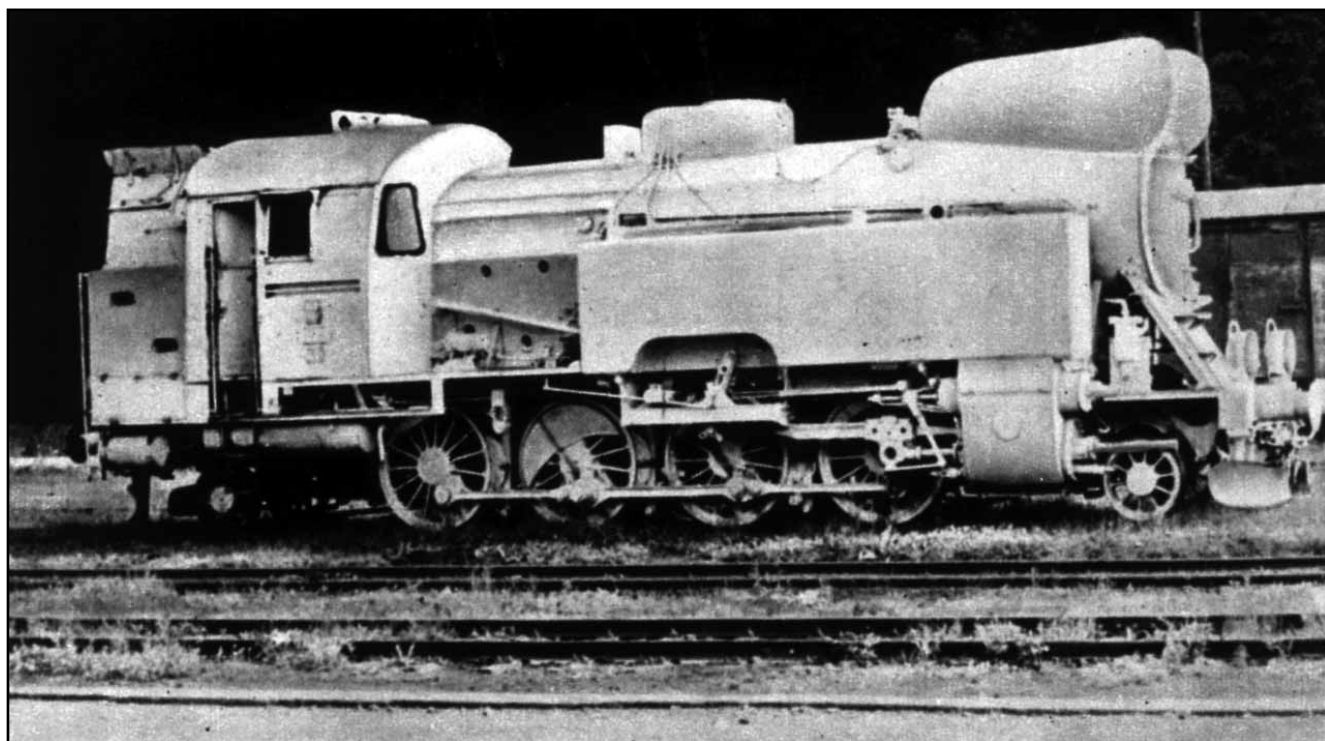
*W Twoim przypadku mamy do czynienia z wielością bardzo energicznych i dynamicznych działań.*

*Twoja aktywność wręcz kipi i wypowiada się na różne sposoby. Malarstwo, pisanie, scenografia, dydaktyka, projekty wystaw...*

Myślę, że już po trosze odpowiedziałem na to pytanie. Uczestniczyć, doznawać, działać, być świadkiem wydarzeń, przemian. Dać własny udział innym do zrozumienia. Obecność na wielu polach działania uzupełnia się – tworzy dla mnie wielowymiarową przestrzeń odniesień i impulsów. Próbuję, jak w teatrze, różnych ról. Właściwie ciągle się ich uczę. Przyjmuję te role – sądzę, że od dobrego „reżysera”. Trzeba ciągle próbować i nie odpuszczać. Starać się indywidualizować zastaną rzeczywistość. Rozumieć postępujący i coraz bardziej złożony problem uniformizacji – nakładania się i przenikania różnorodnych znaczeń funkcjonujących w potocznej rzeczywistości. Trzeba tę rzeczywistość rozbrajać ze stereotypów - w pewnym sensie anarchizować i uduchawiać.

*Jaka jest rola miejsca? Zrobiłeś wystawę „Miejsca”...*

Ta wystawa z 1993 roku pokazała, że w Częstochowie można robić ważne, istotne intelektualnie i artystycznie prezentacje problemowe, pokazujące siłę, jakość, uniwersalizm a zarazem odmienną sztukę polskiej. Schulz, Kantor, Gielniak, Waniek, Szewczyk, Stasys, Korczowski, Michalik – te kilka nazwisk zaskoczyło częstochowską publiczność przyzwyczajoną do zwykle lepszych lub gorszych wystaw. Pytasz chyba o rolę miejsca dla każdego



*Biała lokomotywa. II Festiwal Studentów Szkół Artystycznych w Nowej Rudzie, 1973. Akcja plastyczna na dworcu kolejowym*

z nas na tym „najlepszym ze światów”. Wszystko na tym świecie ma swoje miejsce, szuka swojego miejsca. Większość artystów - tu przykłady tych największych: Leonarda, Caravaggia, Gauguina, Van Gogha, Dalego, Picassa, Duchampa, Gombrowicza, Kantora - poszukiwało swojego ważnego, jedyne energetyzującego, bezpiecznego, ocalającego miejsca jak kamienia filozoficznego poszukiwali średniowieczni alchemicy. Ten proces poszukiwania jest odwieczny i ustawiczny – opisywał go w powieści „Na srebrnym globie” Żuławski. Warto zawsze wrócić do tej lektury, żeby zrozumieć co nieco.

*Jak definiować sztukę? To pytanie wiąże się z pytaniem, co Cię w sztuce najbardziej interesuje: artyści, kierunki, style?*

Sztuka i jej proces powstawania jest stanem szczególnej duchowości, transmisji energii i ekspresji (formy) i treści. Jest to dla mnie akt twórczy skierowany w przyszłość. Oczywiście, są także działania efemeryczne, krótkotrwałe. Takie jak performance czy na przykład spektakl teatralny, które odbywają się teraz i tutaj. Jednak intencją ich wykonawców jest zawsze czas przyszły i chęć skomunikowania się z odbiorcą, by zaistnieć w sferze ich pamięci, w sferze ich duchowości. Bez procesu twórczego, przewartościowania cudzych osiągnięć, poszukiwania własnego języka, wypracowania go, znalezienia szeregu skodyfikowanych znaków stanowiących artystyczny organiczny kod językowy - trudno mówić o sztuce i o artyście. Artysta reprezentuje to szczególne oko, ucho, usta, dłonie, czasami i całe ciało, które inaczej artykułuje znaki i ich treści – bardziej precyzyjnie, trafnie, syntetycznie. Artysta świadomie czy podświadomie prowadzi dialog ze sztuką, ze społeczeństwem, a jego sztuka jest rodzajem wehikułu, prowadzącego w głąb własnego wnętrza, w kierunku praw niezbywalnych i kosmicznych archetypów. Dlatego bardziej interesuje mnie artysta.

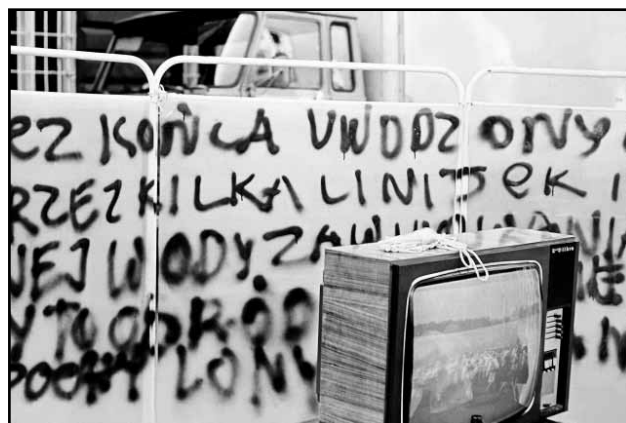
*Jak oceniasz miasto, w którym żyjemy? Czy dzieje się tu coś ciekawego? Regres? Postęp?*

Po utracie statusu miasta wojewódzkiego w Częstochowie odczuwa się postępujący regres właściwie we wszystkich dziedzinach. Trochę poprawiła się estetyka naszych „starodawnych” Alei. Miasto nie rozwija się we właściwym tempie. Według mnie, Częstochowa zaczyna



ASP Kraków. Pracownia prof. J. Sterna. Przegląd końcoworoczny 1975

się kompromitować na wielu płaszczyznach. Gdy patrzymy na kulturę i wydarzenia artystyczne 2006 roku, to widzimy tylko kilka znamienitych wydarzeń. „Project or...” Szymona Parafinika, „Garaż” Fundacji Jasna Chmura, a także wystawy Barbary Major „Żywoty zwierząt” i Piotra Głowackiego „Młode malarstwo krakowskie” oraz częstochowskiej Zachęty „Pierwsza Wystawa Kolekcji Sztuki Współczesnej”. Znakomita też była prezentacja zaproszonego z Warszawy krytyka sztuki Jerzego Brukwickiego, który zrealizował w ramach 6. Triennale Sztuki Sacrum pokaz polskiej sztuki współczesnej „Wobec zła”. Poza tym ciągle wieje nudą. Jeszcze wczoraj mówiło się, że Częstochowa jest to cudowne „zagłębie” malarzy i muzyków. Dzisiaj mówi się, że tu są najlepsze frytki pod dworcem i ciasteczka jakich nie ma nad Wisłą, Odrą a są tylko nad Wartą. Istnieje kilka ciekawych opracowań związanych ze strategią



Cieszyn, czerwiec 1976. Instalacja, performance w przestrzeni miejskiej

rozwoju miasta, ale wszystkie wyglądają jakby już leżały w koszu na śmieci. Urzędnicy mają dobre samopoczucie. Ludzi biznesu kręcą tylko coraz lepsze wynagrodzenia. Przepraszam za uszczypliwe sformułowania. W Częstochowie za mało pamięta się np. o Różewiczu, Jędrusiku, Bartosiku, Wójcickim, Klubie, Gierowskim. A szkoda.

*Dziękuję za rozmowę*

**Rozmawiał Piotr Głowacki**



## TRUCHCIKIEM PO GALERIACH

*W lutym i marcu w częstochowskich galeriach odbyło się kilka wernisaży wystaw malarstwa oraz obiektów rzeźbiarskich.*

**Marek Mielczarek**, rzeźbiarz z Olesna, związany z Instytutem Plastyki AJD, przedstawił w MGS swoje rzeźbiarskie „Międzyprzestrzenie”. Jak przystało na tytuł wystawy, zaaranżował przestrzeń górnej sali galerii swoistą na półabstrakcyjną grą zwielokrotnionych, zrytmizowanych i zgeometryzowanych detali architektonicznych. Te poszczególne przestrzenie ewokowały i artykułowały różne treści również z zakresu pola sztuki.

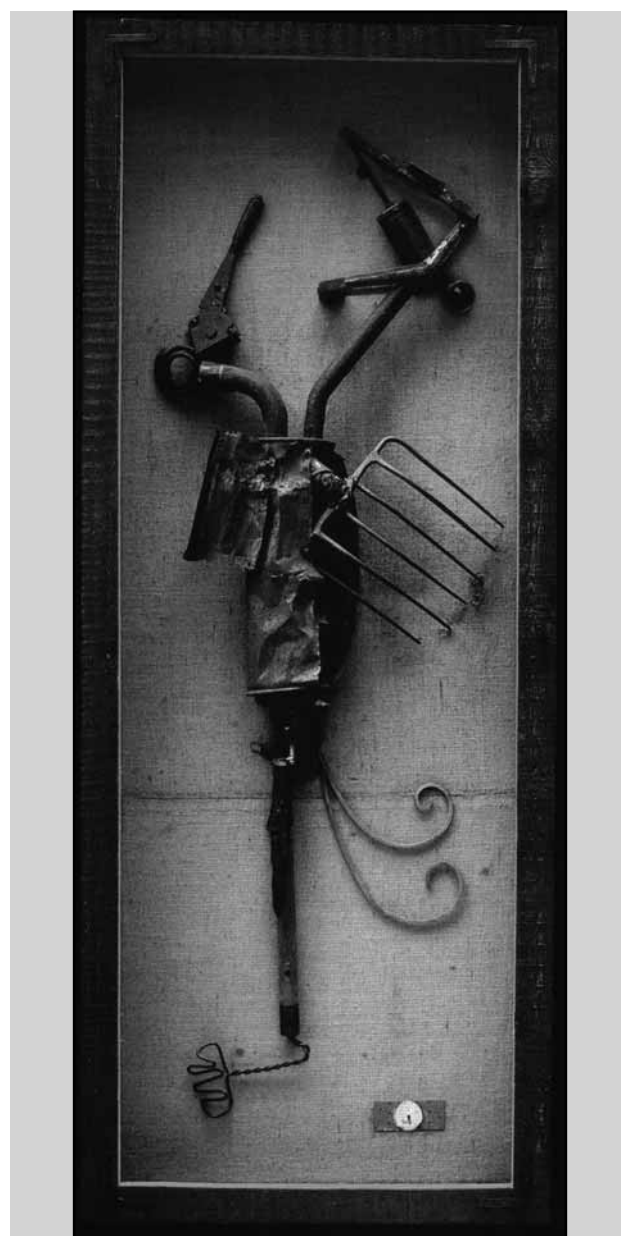


Debiutując indywidualną wystawą student kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych **Łukasz Kasperczyk**, pokazał zestaw fotogramów ze swej akcji performansowej przeprowadzonej na uczelni. Ciekawe ideowo fotogramy podejmują temat śmierci. Całość odrobinę przeteatralizowana, zapewne świadomie.

**Plener Miejski** w MGS to rodzaj ewidentnie przebrzmiałego pokłosa pejzażowego myślenia o mieście i przestrzeni publicznej. Ci sami artyści. Kilka prac – na kilkadziesiąt – tylko dobrych, zwracających uwagę (np. Henryka Kmiecica, Zdzisława Żmudzińskiego).

W Galerii Sztuki i Wina otworzył swoją wystawę **Janusz Burzyński** „Burza”. Ekspozycja niedużych obiektów malarsko-rzeźbiarskich pt. „Nie tylko o aniołach” frapuje odmiennym podejściem do kreowania przedmiotów – obiektów artystycznych w nawiązaniu do sztuki użytkowej.

W Miejskiej Galerii Sztuki gościnnie zaprezentowała swoje prace **Anna Wysocka** z Torunia i trzeba przyznać, że jej zoomorficzne bestie z pogranicza rzeźby i malarstwa były najciekawszym, niestety, wydarzeniem ekspozycyjnym ostatnich kilku tygodni w Częstochowie. Prace te, zrealizowane w wielkich trzymetrowych kasetonowych gablotach, frapują mistrzostwem zestawiania zwyczajnych, śmietnikowo - tandetnych materiałów w fantastyczne, prehistoryczne, biologiczne formy o bogatej fakturze i wysublimowanej kolorystyce. I choć oczywiście nawiązują się nam skojarzenia z twórczością Mariana Kruczka czy Jan Lebensteina - czy nawet Zdzisława Beksińskiego - mimo wszystko są to prace na wskroś oryginalne i warte zapamiętania.







Fot. Zbigniew Burda

**Altea Leszczyńska** zorganizowała stałą ekspozycję swoich prac malarskich w formie galerii autorskiej w Klubie „Tori”. Zaprezentowała tam nowy cykl obrazów o tematyce judaistycznej pt. „Błogosławieństwo”. Artystka o silnej twórczej osobowości zmierzyła się z trudnym tematem i po części wyszła z tego obronną ręką. Dwa, może trzy mocne przedstawienia - a już na pewno „Arka”.



**Tadeusz Rzeźnik** swój metafizyczno-ludyczno-surrealizujący świat wyobrażeń malarskich przedstawił w Winiarni na Starym Rynku. Prace tego dojrzałego twórcy wyraźnie ewoluują, ale w jakim kierunku?

## W przymierzu z ogniem

**Z Michałem Puszczynskim - artystą zajmującym się dalekowschodnimi metodami wypalania ceramiki drewnem - rozmawia Dominika Radkowska**

*Jesteś absolwentem Liceum Plastycznego w Częstochowie i ASP we Wrocławiu. W tej uczelni obecnie prowadzisz zajęcia. Jak potoczyły się Twoje losy po skończeniu kierunku Ceramika w częstochowskim liceum? Jak rozpoczęły się Twoje międzynarodowe poszukiwania artystyczno-techniczne w dziedzinie ceramiki?*

W 1996 roku skończyłem częstochowskie Liceum Sztuk Plastycznych, następnie dostałem się na Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu na Wydział Ceramiki, jednak do mniej więcej trzeciego roku studiów równie mocno jak ceramika interesowało mnie malarstwo i nie byłem do końca pewien ostatecznego wyboru. Na początku trzeciego roku studiów robiłem mnóstwo własnej ceramiki poza zajęciami, ale nie miałem możliwości wypalania jej – piece elektryczne były, i myślę, że dalej są, dość kosztowne. Zacząłem więc eksperymentować z różnego rodzaju prymitywnymi piecami wypalnymi koksem lub drewnem, aby utrwalić swoje prace. Działo się to tutaj, w Częstochowie, w ogrodzie mojego dziadka – miejscu, gdzie później stworzyłem moją pracownię. W tym samym roku profesor Przemysław Lasak, w którego pracowni studiowałem, dowiedział się o możliwości wysłania jednego ze studentów na kilka miesięcy do Szwajcarii, do koreańskiego artysty, pracującego „dziwnymi technikami”. Informacji o artyście i technice było niewiele. W końcu udało mi się go znaleźć. Zadzwoiłem i łamaną angielszczyzną zapytałem, czy mogę przyjechać. W ten sposób trafiłem do jednej z pracowni Seung Ho Janga, koreańskiego artysty-ceramika, jednej z czołowych postaci ceramiki artystycznej na świecie, zajmującego się ceramiką wypalaną drewnem w wysokich temperaturach. Pamiętam, że wtedy dla mnie był to całkowity szok kulturowy. Seung Ho, pomimo wielu lat spędzonych w Europie, wciąż żyje według koreańskich zasad. Dało mi to możliwość poznania nie tylko techniki, którą się posługiwał, ale również mentalności ludzi Wschodu. Praca z nim była dla mnie odkryciem – po pierwsze dowiedziałem się, że mogę się niezależnie od większości współczesnych technologii, o których uczyłem się do tej pory, a po drugie, że – w sposób całkowicie naturalny – ceramika, którą robimy, może stać się bogatsza o wszystko to, cze-



Fot. Piotr Dłubak

go nie da się zaplanować. Mówię tu o popiołowym szkliwie, które powstaje na pracach podczas wypalania. Pierwszy raz pracowałem z Seung Ho przez cztery miesiące; trafiłem w chwilę, kiedy miał naprawdę mnóstwo pracy i tym samym ja również dostałem straszliwą szkołę ciężkiej roboty – sypialiśmy po 2-4 godziny na dobę. Po powrocie do Polski dostałem stypendium Miasta Częstochowy, dzięki temu mogłem wybudować piec Tongkama na wzór tego używanego przez Seung Ho. W ten sposób stałem się pierwszą osobą w Polsce, która rozpoczęła wysokotemperaturowe wypały ceramiki drewnem. W 2001 roku obroniłem dyplom w ASP w pracowni profesora Przemysława Lasaka, który był moim promotorem, a w 2003 roku profesor zaproponował mi asystenturę. Od tamtego czasu pracuję w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Od 1999 roku ściśle współpracuję z Seung Ho w Korei, Szwajcarii i Francji, organizujemy razem projekty i wystawy w Korei i Europie Zachodniej.

*Co oznacza nazwa projektu artystycznego „Naori Tongkama”?*

Nazwa wzięła się z pomyłki dziennikarki – prowincja w Korei, w której Seung Ho ma jedną ze swoich pracowni, nazywa się Naeri – błąd w pisowni na tyle mu się spodobał, że zostało „Naori”, który oznacza „nadchodzący”, „następny”. To o wiele bardziej odpowiadało temu, czym zajmowaliśmy się we Francji i w Korei. „Tongkama” to nazwa pieca. „Naori Tongkama” to projekt zakładający współpracę przyjaciół zajmujących się różnego rodzaju aktywnością artystyczną. Czymś, co nas spajało była wspólna praca przy organizacji warsztatów i robienie ceramiki. Brali w tym udział również ludzie z Korei i Europy zajmujący się video, performancem, sztukami walki i tańcem. W 2001 roku we Francji stworzyliśmy teatr, w którym co roku organizowany jest performance i spektakle towarzyszące wystawom ceramiki i warsztatom.

*W opisywaniu swojej sztuki podkreślasz bardziej jej stronę „techniczną” zaczerpniętą z natury, fakt, iż dzieła wykańcza ogień płonącego drewna. Przy czym do treści i formy tej sztuki także jest natura. Przybliż, proszę, swoje idee treściowe i formalne.*

Podkreślam zawsze stronę techniczną moich prac, ponieważ jest interesująca i zupełnie w Polsce nieznana. W innych krajach – Europie Zachodniej czy Korei – pewne rzeczy są oczywiste, tutaj było to zupełnie nieznane. Ale niezmienny pozostaje fakt, że dzięki technicznej stronie – wypalaniu ogniem – ten ogień staje się współautorem moich prac. Tak naprawdę nie wiem skąd, od którego momentu, pewne formy natury, jej działania, i procesy w niej zachodzące, stały się inspiracją dla mnie. Mój sposób patrzenia na naturę, na to, co nas otacza również ewoluuje i ciągle się zmienia. Jestem już bardzo daleko od tych prac, które robiłem kilka lat temu, a jednak sens tego, co robię jest dalej ten sam – przedstawianie mojej percepcji natury, i tego, co jest dla mnie w niej najważniejsze. Myślę, że projekt, który aktualnie przygotowuję dla jednego z muzeów, zaplanowany na czerwiec, może okazać się pewnym szokiem dla tych, którzy znają moje prace – a jednak wciąż jest to odpowiedź na to samo pytanie.



Fot. Piotr Dłubak

*Czy formy Twoich prac są inspirowane estetyką koreańską, czy też wspólna jest tylko technika?*

To dobre pytanie. Ludzie, a szczególnie media, uwielbiają szufladkować, w związku z czym to, co robię zostało zaszufladkowane w Polsce jako ceramika koreańska. A to mniej więcej tak, jakby nazwać malarza, który używa japońskich pędzli do kaligrafii japońskim kaligrafem. Technika, którą wypalam swoje prace, pochodzi z Dalekiego Wschodu, ale to, co robię jest zupełnie indywidualną kreacją. Jest moje. Oczywiście, nie przeczę, że pracując z nimi pojąłem różnice w rozumieniu i postrzeganiu piękna, i w wielu wypadkach o wiele bliżej mi jest do prostoty i asymetrii spotykanych w Chinach, Japonii czy Korei, niż na przykład do rozbuchanego baroku.

*Dawniej wśród Twoich prac były piękne unikatowe formy użytkowe - misy, imbryki, patery. Teraz zaniechałeś ich tworzenia. Dlaczego?*

Zdarza mi się dalej robić użytkowe rzeczy – czarki do herbaty, czajniki, jednak jest to bardziej dla mnie forma treningu, poznawania materiału, w którym pracuję. Formy użytkowe narzucają od razu pewne ograniczenia – waga, rozmiar – którym należy się podporządkować, aby dobrze je wykonać. To, czego ja szukam, stało się bardziej rodzajem abstrakcyjnej rzeźby organicznej, gdzie nie ma miejsca na ograniczenia.

*Jak długą tradycję ma w Korei technika wypalania drewnem?*

Geneza wysokotemperaturowych technik wypału w takich piecach wywodzi się z Chin, później trafi-



ła do Korei, gdzie została znacznie zmodyfikowana i ulepszona, a następnie do Japonii. Istnieje wiele rodzajów pieców opalanych drewnem, w których można przekraczać temperatury rzędu 1300 stopni Celsjusza – ten rodzaj pieca, którego ja używam zaczęto eksploatować ok. 2000 lat temu i używano ich w Korei i Japonii przez wieki aż do wprowadzenia bardziej ekonomicznych pieców.

*Wypalanie w piecu Tongkama może odbywać się przez cały rok?*

Tak, ale zimą jest to utrudnione, zwłaszcza w naszym klimacie. Do obsługi takiego pieca jak mój, potrzebne są minimum cztery osoby, komfortowo sześć. Wypał odbywa się na zewnątrz, więc przy minusowej temperaturze i zacinającym śniegu nie należy do przyjemności, szczególnie w nocy. Wypalenie trwa od trzech do pięciu dni i nocy. Pracujemy więc w dwuosobowych zespołach zmieniających się co sześć godzin. Niska temperatura przedłuża również okres podgrzewania pieca, lepiej jest więc to robić latem lub jesienią. Zimą wykonujemy prace do wypalania. Mój piec w Częstochowie wypalam raz, dwa razy, do roku.

*Jak na wygląd opracowywanej formy wpływa rodzaj drewna; pora roku, w czasie której było ścinane drzewo; pora roku, w czasie której odbywa się wypalanie?*

Odpowiedź na to pytanie jest skomplikowana i wymagałaby o wiele dłuższej rozmowy... Podczas pracy z takim piecem istnieje mnóstwo rzeczy, których uczę się wraz z latami i doświadczeniem. Inny odcień naturalnego szkliwa wyjdzie przy wypalaniu drewnem sosnowym niż przy dębowym. Wypalanie późną jesienią sprzyja redukcji, co powoduje ciemniejszy odcień gliny. Takich niuansów jest o wiele więcej, wiedza o tym przychodzi wraz z każdym kolejnym wypałem. Generalnie – drewno powinno być suche i sezonowane, daje wtedy długi, jasny płomień. Ja z kilku względów preferuję drewno iglaste, łatwo dostępne w naszym kraju i najtańsze.

*Jak powstaje faktura Twoich prac? Jest ona wynikiem rzeźbienia, odbijania, czy wybierania materiału? Jak to się dzieje, że faktura prac przypomina fakturę słoików drewna?*

Używam bardzo wielu różnych technik. Wiele z wcześniejszych prac było budowanych bezpośrednio na pniach drzew, co dawało odcisk faktury. Pracuję również z palnikiem gazowym, którym częściowo przesuszam powierzchnię pracy i, wypychając ją od środka, uzyskuję efekt przypadkowych pęknięć, takich samych, jakie można zobaczyć na spękanej ziemi lub drzewach. Używam bardzo różnych technik ceramicz-

nych – generalnie zależy to od efektu, który chcę uzyskać i aktualnego problemu, który rozwiązuję.

*Jak prace są układane w piecu? Czy oddziela się je od siebie?*

W moim piecu cały proces zajmuje mniej więcej dwa dni. Prace ustawiane są bezpośrednio na sobie lub na półkach karborundowych, które wytrzymują wysoką temperaturę. Oddzielane są od siebie rodzajem kuleczek, wykonywanych z gliny, mąki, piasku i aluminium. Robi się to po to, aby prace podczas wypalania nie skleiły się ze sobą, kiedy pokrywa je popiół i przetapia się w szkliwo. Cały proces ładowania jest niezwykle istotny – od niego zależy kolor szkliwa, odcień i efekty pojawiające się na pracach. Do mojego pieca mogę załadować kilkadziesiąt prac różnej wielkości.

*W Polsce przy Twoim udziale został zbudowany już trzeci piec Tongkama: pierwszy w Twojej pracowni w Częstochowie, drugi w powstającym w Luboradowie Centrum Ceramiki Artystycznej przy wrocławskiej ASP, trzeci w Żarkach u Karola Nowakowskiego, studenta Wydziału Ceramiki i Szkła. Jesteś inicjatorem czy współuczestnikiem tych działań?*

Jeżeli chodzi o Luboradów, to faktycznie byłem organizatorem całej akcji. W tym roku dzięki władzom ASP we Wrocławiu, stypendium Ministra Kultury RP „Młoda Polska”, które otrzymałem i stypendium Council Art Korea, które otrzymał jeden z członków grupy Naori, mój przyjaciel Daewoong Kim, możliwe było wybudowanie wielkiego pieca Tongkama w Ośrodku Plenerowym ASP w Luboradowie pod Wrocławiem. W ten sposób rozpoczęliśmy projekt utworzenia tam Centrum Ceramiki Artystycznej w Polsce. Zamierzamy zorganizować sympozja międzynarodowe, otwarte dla wszystkich. Co do pieca Karola Nowakowskiego w Żarkach, to dosyć ciekawa historia – ojciec Karola, Zbyszek Nowakowski był moim pierwszym nauczycielem ceramiki w Liceum Plastycznym w Częstochowie i w 1999 roku pomagał mi budować mój pierwszy piec. Karol Nowakowski jest studentem ASP i aktualnie robi dyplom w pracowni, w której jestem asystentem. Przez kilka lat z rzędu pomagał mi przy wypałach w Częstochowie, brał też udział w realizacji projektu w Luboradowie. Jesteśmy z jednej dzielnicy – nasi dziadkowie się przyjaźnili i ze sobą pracowali. Nie uczestniczyłem osobiście w budowie jego pieca – to jego samodzielna praca, z której bardzo się cieszę. Piec jest zbudowany bardzo profesjonalnie, jestem pewien, że będzie działał lepiej niż mój własny. Karol to bardzo zdolny i pracowity człowiek.

*Artyści Naori Tongkama często pracują razem, wspólne prezentują swoje dokonania. Fascynacja starą techniką wypalania drewnem jest dla was siłą jednoczącą?*

Coraz mniej mamy czasu żeby pracować wspólnie – każdy z nas ma coraz więcej indywidualnych projektów i wystaw. Jednak w tym roku spotkamy się po raz kolejny we Francji, na międzynarodowym sympozjum w La Borne. Siłą jednoczącą jest ogień – każdy z nas, niezależnie od kraju lub pochodzenia, zawsze lubił w niego patrzeć...

*Jaki przebieg ma u Ciebie proces tworzenia? Szkicujesz, tworzysz modele, zapisujesz myśli?*

Praca z gliną w moim wypadku to proces pół intuicyjny, przypadkowy, a w połowie przemyślany. Zapisuję myśli, robię mnóstwo fotografii – zazwyczaj makro (zblizeń) – traktując je jednak jako punkt wyjścia do pracy z gliną. A modele ostatnio powstają w komputerze – w programach do projektowania 3D. To dla mnie zupełnie nowa sytuacja, traktuję to jako rodzaj przestrzennego szkicownika moich pomysłów. Jeżeli chodzi o samą pracę w materiale, to sprawa wygląda dziwnie, bo z jednej strony staram się pracować „na żywo”, mając tylko jakiś zarys kształtu, który chcę uzyskać, z drugiej strony – jestem bardzo skupiony, żeby nie przeoczyć tego momentu, kiedy przez przypadek forma czy jakiś detal otwiera mi drzwi do jakiegoś nowego nieznanego rozwiązania. Józef Czapski w „Patrząc” pisał o tym właśnie momencie jako o skoku, który malarz może wykonać tworząc – dla mnie to raczej drzwi, które się otwierają i pozwalają posunąć się mozolnie o krok do przodu. Chyba najbardziej cenię sobie i pamiętam te moje prace, które miały tego rodzaju drzwi w sobie... Często też staram się „oszukiwać” własną percepcję, zaczynając pracę bez określenia czy to, co robię będzie dołem, przodem czy bokiem obiektu. W ten sposób, ponieważ nie wiem prawie do końca, jak będzie eksponowany, nie ma na nim powierzchni, kształtów niedopracowanych, „odpuszczonych”...

*Technika wypalania w tak pojemnych piecach narzuca tworzeniu jakąś taktikę? Czy założoną ideę, jak np.*



Fot. Piotr Dłubak

*„Symbioza”, realizujesz etapami przez długi czas, czy też określone wcześniej formy tworzysz, już fizycznie, w czasie przeznaczonym tylko na pracę z tworzywem?*

Przede wszystkim, żeby wypalić piec, trzeba mieć czym go załadować... Stąd częstotliwość wypalania – raz, dwa razy do roku w Polsce. W moim wypadku nie istnieje nic takiego, jak określony czas na pracę z gliną.

Pracuję cały czas; określam w przybliżeniu datę wypału i to jest jedyny termin, którego się trzymam. Więc tak, w zasadzie można powiedzieć, że pracuję etapami – chociaż też nie do końca – formy ciągle się zmieniają, podobnie jak moje o nich wyobrażenie – wymaga to pewnej ciągłości, żeby nie zagubić głównej myśli.

*Wiele podróżujesz, tworząc w różnych krajach, pracujesz jako wykładowca, prezentujesz wystawy, współtworzysz Centrum Ceramiki. Jesteś człowiekiem zorganizowanym?*

Powiedzmy, że pracuję w zorganizowanym chaosie. Wiem, gdzie co mam, w przybliżeniu do 20 centymetrów. Jeśli pytasz o organizację czasu – tak, nad tym bezustannie pracuję. Nie wiem, czy jestem zorganizowany – chciałbym być – wiem, że zabrzmi to jak paradoks ale uważam, że współcześnie aby być wolnym człowiekiem trzeba być świetnie zorganizowanym...

*Jesteś młody, na pewno rozsadzają Cię pomysły i energia do tworzenia własnych dzieł. Jednocześnie już poświęcasz się pracy dydaktycznej. Nie brakuje Ci tworzenia w samotności?*

Zawsze. Ale czas i samotność, pozwalająca tworzyć, stają się dla mnie coraz bardziej deficytowym towarem. Wiele projektów realizuję coraz częściej koncepcyjnie, odkładając je na przyszłość, praca ze studentami również w jakiś sposób mnie wzbogaca – konfrontacje z ich sposobami postrzegania są dla mnie bardzo cenne. Pozwalają mi na dystans do tego, co robię, kiedy już w końcu zostaję sam...

**Rozmawiała Dominika Radkowska**

## LATARKA, KAPUŚNIAK I KOŁDRA

Jakub M. Rawinis

Wieści dochodzące z Teatru im. Adama Mickiewicza w ostatnim roku wskazywały, że w osiemdziesiątym, jubileuszowym sezonie teatrowi brakuje wyraźnej koncepcji artystycznej. Wiele wskazywało na to, że nowa dyrekcja, na wzór rządu, będzie jeszcze słabsza niż poprzednia. Na szczęście w lutym Łukasz Wyleżalek wystawił swą nową sztukę „Alibi”. Nie ma w niej niezrozumiałych wygłupów, nie ma piętrowych przekleństw, za to jest dobra gra aktorska i sporo inteligentnego humoru. Wyleżalek kojarzono do tej pory z pesymistycznymi opowieściami o marginesie społecznym, dlatego „Alibi” okazało się sporym – i to pozytywnym – zaskoczeniem.

Jest to kameralna, groteskowo-melancholijna historia o pewnym pensjonacie w Sudetach, w którym zamieszkują czasem cudzoziemcy. Pewnej nocy dochodzi do kradzieży samochodów należących do goszczącego akurat niemieckiego małżeństwa. Sprawę starają się rozwikłać stróż Dima i miejscowy in-

spektor policji. Obaj nawzajem siebie podejrzewają i obaj interesują się panią Gerdą, zatrudnioną w pensjonacie jako gospodyni. W szczególności dotyczy to Dimy, który między innymi podgląda wieczorami Gerdę przy kąpeli. Gospodyni zaś pomiata nim niemiłosiernie, tym bardziej, że stróż siedział kiedyś w domu wariatów, opowiada niestworzone historie i w ogóle wszyscy mają go za głupka. „Wszyscy” oznacza w tym przypadku pozostałe postacie, jako że po stronie Dimy pozostaje sympatia widza.

Dzieło Wyleżalka jest, wbrew wspomnianym obawom, dość sympatyczne, z zabawnymi dialogami (czasem nawet bardzo), prawie zupełnie pozbawione wulgaryzmów (tylko jeden!). Niektórzy się zżymają, że brakuje głębszej refleksji, ale rzecz się ma trochę inaczej. „Alibi” jest o ludziach i o relacjach między nimi, o odrzuceniu jednostki niestandardowej przez społeczeństwo, czy nawet o autorytecie (to „trudne słowo” pojawia się kilkakrotnie) ... a kwestia kradzieży samochodów stanowi tu jedynie pretekst. W każdym razie takie wrażenie pojawia się po jednokrotnym obejrzeniu sztuki. Nie wykluczam, że ponowne zapoznanie się może odsłonić jeszcze inne warstwy.

W programie „Alibi” zostało określone jako „tragikomedia kryminalna” i to się z grubsza zgadza.



Fot. Piotr Dłubak



Może tylko tego tragizmu jest nieco mniej.

A kto występuje? Adam Hutyra w roli Dimy – właściwie mógłbym się ograniczyć do stwierdzenia, że ten aktor umie zagrać wszystko i wszystkich. Trzeba wszelako przestrzec tych, którzy widzieli zdjęcia promocyjne, że Hutyra nie chodzi cały czas owinięty w kołdrę. Stróż zwykle ma na sobie granatowy strój roboczy, gumowce i często także zielony płaszcz z kapturem. Paraduje stale z latarką, a od pewnego momentu także z pistoletem. Ten drugi wprawdzie nie strzela (w każdym razie nie na scenie), ale latarka owszem, bywa w użyciu. Jeżeli chodzi o charakter roli, to Dima nie jest jakimś tam wesołkiem, lecz marzycielem, prawie że poetą. Często snuje się po ogrodzie podczas burzy (taka sekwencja pojawia się kilkakrotnie), patrzy w gwiazdy, ale nie zapomina, kim jest i na czym polegają jego obowiązki: widzimy go to z drabiną, to z kamerą do monitorowania parkingu. Postać stróża wzbudza duże zaufanie; widz popiera go tak, jak popiera się niezrozumianego geniusza.

Inspektora gra Michał Kula i jest to rola równie udana. W odróżnieniu od stróża, policjant (występujący po cywilnemu) jest szorstki, zmęczony życiem, opryskliwy i nieskrepowany zasadami dobrego wychowania (patrz scena z jedzeniem kapuśniaku, w której donośnie siorbie i oblizuje palce). Często

boli go ząb. Gerda (Paula Kwietniewska) również sprawia wrażenie zmęczonej życiem, podglądaczem Dimą, złodziejami, kłopotem z parami niszczącymi pościel; jeśli trzeba, potrafi krzyknąć. Cała trójka budzi sympatię widza, a to bardzo ważne.

Zresztą, gra aktorów wypada dosyć realistycznie, praktycznie bez szarżowania. Reżyser w czasie prób zalecał podobno, aby grali oszczędnie, a nawet, by „wcale nie grali”. Może to stało się przyczyną tej naturalności. Oczywiście nie jest ona stuprocentowa. Lekko przerysowany bywa na przykład sposób artykulacji Michała Kuli: inspektor zwraca się, i to dość ostro, do Dimy, patrząc jednocześnie na Gerdę (i do niej gestykulując). Wygląda to, jak wspomniałem, nieco dziwnie, ale nie zgrzyta, a nawet podkreśla groteskowość historii.

Prócz aktorów pojawiają się – ale tylko w dialogach, nie na scenie – Bracia S., znani w okolicy złodzieje samochodów, oraz małżeństwo Niemców mieszkających w pensjonacie. Na afiszach i w programach wyróżnione zostały jeszcze dwa nazwiska: Mariusz Pała i Janusz „Yanina” Iwański. Pierwszy odpowiedzialny za scenografię, drugi oczywiście za muzykę. Z ostatniego rzędu, i to jeszcze przy mrocznej scenie, nie byłem w stanie należycie ocenić scenografii, zauważyłem jednak łóżko, czyli element



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

równie obowiązkowy we współczesnym teatrze jak rower. Muzyka zdecydowanie się udała. Wprowadza nastrój niepokoju, przykuwający widza. Co ciekawe, znany gitarzysta Yanina tym razem nie skorzystał z gitary, posługując się między innymi instrumentarium smyczkowym. Nie brakuje naturalistycznych efektów dźwiękowych: grzmotów, wystrzałów, odjeżdżającego samo-

chodu itp. Osobne brawa należą się za oświetlenie (za konsolą Robert Klimas), stwarzające bardzo sugestywnie atmosferę burzy, w której Dima błądzi z latarką, albo dla odmiany słonecznego dnia.

Na początku niniejszej recenzji wspomniałem, że „Alibi” nie przypomina „kontrowersyjnego” Wyleźnia. W takim razie co przypomina? Przed premierą pojawiały się porównania z prozą Stasiuka i Dymnego, na przykład z „Opowiadaniem zwykłymi” tego ostatniego. A jak „Opowiadania zwykłe” i Teatr im. Adama Mickiewicza, to skojarzenie jest jedno – „Skrzyńeczka”. Moim zdaniem, przedstawienie Wyleź-

nia, podobne do spektaklu Andrzeja Sadowskiego choćby tym, że rozpisane na trzy osoby (plus parę wirtualnych), jest, podobnie jak tamto, udanym przedsięwzięciem. I oby równie dobre spektakle zdarzały się też na scenie dużej, nie tylko na kameralnej...



Fot. Piotr Dłubak

## STARAM SIĘ NIE GRYMASIĆ Z aktorką Małgorzatą Marciniak rozmawia Marian P. Rawinis

*Do Częstochowy przyjechała Pani w roku 1990...*

Jak większość Polaków kojarzyłam Częstochowę z Jasną Górą, przyjeżdżałam tu jako dziecko z rodzicami. Pochodzę z Nowego Miasta nad Pilicą, w połowie drogi między Warszawą i Łodzią. Po ukończeniu studiów przyszedłam do Częstochowy z grupą przyjaciół z roku - Agatą Hutyrą, jej mężem Adamem, Robertem Rutkowskim. Ówczesny dyrektor teatru, Tadeusz Kijański, zaproponował nam pracę i tak się tu znaleźliśmy. W teatrze brakowało wtedy młodych osób, bezpośrednio po studiach. Przyjęto na bardzo dobrze. Ale jak po wakacjach przyszliśmy do pracy, to był już w teatrze inny dyrektor, Ryszard Krzyszycha, o czym już nas nie powiadomiono.

*Ryszard Krzyszycha ustawił repertuar dość specyficznie... W tymże 1990 roku zagrała Pani w „Obronie Częstochowy” w jego reżyserii. To był Pani pierwszy występ na częstochowskiej scenie?*

Nie. Wcześniej grałam w „Lejzorku”. Było to zastępstwo. Pierwszą zaś rolę, nad którą tu pracowałam, była Dziewczyna w sztuce Karola Wojtyły „Brat naszego Boga”. „Obrona” była nieco później.

*Więc który występ uważa Pani za swój debiut sceniczny?*

To zastępstwo w „Lejzorku”.

*Kiedy patrzę na Pani biografię artystyczną, widzę pewną symetrię. Z jednej strony duże, ładne role z repertuaru o charakterze klasycznym, z reguły kobiety posągowe, a z drugiej strony bardzo wiele bajek dla dzieci.*

Generalnie dość dużo bajek jest granych w naszym teatrze. To dlatego, że nie ma w mieście typowego teatru dla dzieci. A że gram w wielu bajkach? Może bierze się to i z tego, że ktoś ma jakieś większy temperament, a może po prostu lubi dzieci i ma na przykład łatwość śpiewania, bo często w bajkach są piosenki. Większość moich kolegów grywa w repertuarze dla dzieci. Ja chyba nie jestem wyjątkiem...

*Dla aktora chyba tak samo łatwo i jednocześnie tak samo trudno jest występować w repertuarze klasycznym a jednocześnie w bajeczkach. Aktorzy rozmaicie reagują. Mam wrażenie, że Pani to przychodzi łatwo.*



Fot. Piotr Dłubak



# TEATR

Dobre ma pan wrażenie. Nie gram łatwo, ale chętnie. A z czego to wynika? W ogóle lubię widownię dziecięcą, bo dzieci strasznie są spontaniczne, brak w nich zakłamania, takiego już przed przyjściem do teatru przygotowania, że coś się powinno podobać a coś nie. Miałam szczęścia do ról w tych bajkach, kiedyś za jedną z nich zostałam nagrodzona. W jednym roku dostałam Złotą Maskę za dwie role – jedną była Ballaldyna, drugą u Kiljanów w „Pięknej i bestii” rola Błazenka. Role bardzo odległe, ale w sumie, nie tak bardzo odległe...

*Ta zmienność, to odpoczynek czy tylko ciężka praca?*

Na pewno staram się podchodzić do pracy nad rolą podobnie w jednym i drugim repertuarze. To różnie może wychodzić i różnie wyglądać, ale absolutnie nie jest tak, że mówię: o, jak teraz jestem obsadzona w bajce, to odpuszczę. Jest to w jakimś stopniu odpoczynek. W tym sensie, że to jest możliwość grania dla różnej widowni. To jest ciekawe dla aktora, uczy się czegoś nowego. Sądzę, że płodozmian daje poczucie odpoczynku. I myślę, że nie tylko w aktorstwie, ale generalnie chyba fajnie jest robić różne rzeczy, może nawet uprawiać różne zawody...

*Wyobrażam sobie, że aktor, szczególnie na początku pracy w teatrze, ma swoje wymarzone role. Czy w miarę upływu czasu i nabywania doświadczeń, dochodzi do wniosku, że osiągnął już taką biegłość zawodową, że może zagrać wszystko?*

Nie mam konkretnych ról, o których marzę. Czasem rozmawiam z kolegami, że często bywa tak, że dostajemy scenariusz, jest podana obsada i w czasie pracy nam się wydaje, że ojeju! ja bym to zgrała tak, umiałabym. Jestem na życie otwarta i jestem postrzegana jako dość optymistycznie patrząca na świat. Myślę, że musiał upłynąć jakiś czas, żeby osoby, które pracowały ze mną, dopatrzyły się też takiej strony, nieco innej, to znaczy ciemniejszej, wrażliwszej. Bardziej kojarzono mnie z lżejszymi charakterologicznie postaciami. Myślę, że to mnie gdzieś uwierało na początku. A człowiek, włożony w pewne ramy czy szuflady, czuje potrzebę uwolnienia, chce spróbować czegoś innego..

*Wyobrażam sobie, że po szkole aktorskiej ludzie mają pewne preferencje. Aktorka musi oczywiście zaliczyć wszystkie to Zosie i Klary, a potem przychodzi czas na Telimeny....*



Fot. Piotr Dłubak

A potem matki. Przychodząc do Częstochowy bardziej może myślałam ogólnie o charakterze postaci, niż o konkretnej roli, no nie wiem - Ofelii, Lady Makbet czy Balladynie. We mnie jest taka cecha, że żadna moja zasługa, to pochodzi od Boga, to jest gdzieś w naturze, że potrafię się pogodzić i z życiem, i ze światem. W związku z tym łatwo godzę się z tym, jak mnie ludzie postrzegają. Nigdy nie byłam osobą, która by nalegała, która by gdzieś naciskała: ojej, jak marzę o tym i jak chcę to zagarć! Może dzięki temu, to pogodzenie i pokora wobec czasu przynoszą trochę szczęścia. Grałam Klarę w „Ślubach panińskich”, Telimenę i Balladynę. No, mniej grałam w repertuarze współczesnym...

*Bardzo mi się podobała Balladyna. Pamiętam, choć już parę lat minęło. Mówimy o szufladkach aktorskich. Jak człowiek pozwoli wpuścić się w tak szufladkę, to trudno z niej wyjść. A Pani gra wszystko. Czy to wynika z deklarowanej przez Panią otwartości, trochę ze szczęścia, czy może z silnego podporządkowania się zawodowi, dyrektorom, którzy przychodzą i decydują: ty grasz to i to, a ty co innego. Czy Pani łatwo godzi się z przydziałem ról?*

Jestem osobą dosyć obowiązkową i staram się nie grymasić.

*Dyrektor, reżyser mówi: ma być tak. I nie ma odwołania czy sprzeciwu?*

Jeśli chodzi o obsadę, w moim przypadku nie ma. Zdarzyło mi się tylko dwa razy w życiu zrezygnować. Bo jest taki teatralny zwyczaj, że można z roli zrezygnować, raz

w roku. Zdarzyło mi się dwa razy na te kilkanaście lat pracy. Raz było to, powiedzmy, z artystycznych powodów, w drugim przypadku z powodów rodzinnych.

*To była rola...*

Forma mi nie odpowiadała. To było tak robione przedstawienie, jakby miała to być szybko zrealizowana chałtura, a ja w coś takiego nie lubię się bawić i jeśli mogę unikać takich sytuacji, to unikam...

*A kiedy już wie Pani, co będzie grała, to jak wygląda budowanie postaci? Odbywa się tylko podczas prób na scenie, czy także gdzie indziej? Jaki jest Pani system przygotowania roli?*

Najczęściej jest to bardzo przemieszane. W trakcie prób napięcie jest bardzo duże. Jeśli jest dobrany zespół – a parę razy miałam to szczęście - to wszystko jakoś tak przebiega strasznie naturalnie. Nie bez wysiłku, ale naturalnie się zaczyna i naturalnie rozwija. I ja, czując akceptację i wzajemne porozumienie, zaczynam dopowiadać, proponować pewne rzeczy. Zależy to od osoby reżysera, bo co jest dla jednych zaletą, dla innych jest wadą. Ja się lubię wtrącać, pytać dlaczego i po co. Jeśli już podczas prób sytuacyjnych gdzieś coś nie wychodzi, nie ma rozwiązania danej sytuacji, to mnie po prostu korci, ja nie mogę usiedzieć. Niektóre osoby w takich sytuacjach nic nie mówią. Ja nie chcę się tylko wtrącać, ale mam opinię wśród kolegów i wśród reżyserów, że mnie korci i chętnie podrzucam ja-



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

kieś pomysły. To nie musi być akceptowane. Jeśli chodzi o budowanie postaci scenicznej, to nie jest tak, że wycho-  
dzę z próby przestając o niej myśleć. Nie mówię, że jak koń-  
czę grać, to jeszcze jakiś czas jestem postacią, nie, ale też  
nie umiem, o tu, przed kulisą jestem Małgosią Marciniak,  
a potem już nie. Czasami jak na siłę chce się coś wymyślić,  
to nic nie wychodzi. Czasami sytuacja zupełnie abstrak-  
cyjna w życiu prywatnym nagle podpowiada rozwiązanie,  
które tygodniami nie przychodziło. Lubię ludzi, lubię ich  
obserwować, lubię odbierać ludzi. Oczywiście nie z takim  
nastawieniem, że ja to gdzieś tam wykorzystam. To samo  
gdzieś się zbiera mimowolnie, a potem odzywa.

*Jak się Pani odnalazła w Częstochowie, w nowym dla  
siebie miejscu?*

Pochodzę z bardzo małego miasteczka. Częstochowa  
przy moim Nowym Mieście to jest metropolia. Jak przy-  
szłam tu, to chyba wolałam to moje miasteczko. Często-  
chowa wydawała mi się brzydkim miastem. Kończyłam  
studia we Wrocławiu, Wrocław Kraków, Gdańsk – te mia-  
sta zawsze mi się podobały. W Częstochowie przeszkadza-  
ło mi na przykład, że tutaj nie ma typowego rynku, a są  
Aleje. Do takiego podziału architektonicznego nie byłam  
przyzwyczajona.

*Wiejski układ: jedna ulica, chałupy po obu stronach...*

Kiedy ja lubię wieś. Żeby tak było, to byłoby super, bo  
wszyscy się znają. Natomiast wydawało mi się, że w nie-  
dziele wszyscy wychodzą w Aleje i spacerują, żeby się  
pokazać. Może mnie tylko tak się wydawało. No, nie ukry-  
wam, nie podobała mi się Częstochowa, gdy tu przyszli-  
śmy. Na początku chcieliśmy z mężem uciec. Nie mieliśmy  
też rodzinnego oparcia i pewności, że jak się dzieci naro-  
dzą, to ktoś pomoże, tu nie mieliśmy krewnych. Wszyst-  
ko, co mnie ujmowało w tym mieście, to oczywiście Jasna  
Góra, bo jestem osobą wierzącą i to jest dla mnie istotne.  
Natomiast bardzo się nam spodobały okolice. A ponieważ  
jesteśmy taką rodziną - mamy dwóch synów - że lubimy  
chodzić, jeździć rowerami, tak więcej sportowo spędzać  
czas, to okolice okazały się rewelacyjne i myślę, że to jest  
plus Częstochowy. Jura jest przepiękna...

*Aktorka ma poczucie własnej wartości i poczucie:  
umiem to zrobić. No i pojawia się nowy dyrektor, który nie  
przyjmuje tego do wiadomości. Interesuje mnie oczekiwa-*

*nia i niepokoje związane z przyjściem do teatru nowego  
dyrektora. Są obawy? W czasie Pani pracy mieliśmy tu  
sześciu czy siedmiu dyrektorów. Ten niepokój po trzeciej  
zmianie jest słabszy, a po czwartej wcale nie występuje?*

Myślę, że jest niepokój. Za każdym razem. To bywa  
czasem dotkliwie, ale z latami ja nawet lubię to odczucie.  
Dużo o tym myślałam. Pierwsza myśl: o Jezusie, jak to tak,  
ja to zagrałam, tamto zagrałam, a tu nagle coś takiego, albo  
w ogóle nie jestem obsadzana! Ale za chwilę zaczynam się  
zastanawiać: Czy to jest takie moje widzenie siebie? Może  
to dobrze, że ktoś o mnie inaczej myśli? Mnie to mobili-  
zuje, przekonuje, żeby nad sobą pracować. Miałam takie  
poczucie za dyrektora Perepeczki. Trzy lata byłam na urlo-  
pie w związku z urodzeniem drugiego dziecka. Kiedy  
wracałam, to wydawało mi się, że ktoś na mnie czeka, tu  
taka rola, tu inna, a nagle spotkałam się z takim... spokojnym  
przyjęciem. I to też dało mi do myślenia dużo. Ponieważ,  
jak wróciłam po trzech latach, to mi się wydawało, że nic  
nie umiem. Mam to też po każdym wakacjach, mam po-  
czucie, że wszystko zaczynam od nowa i poczucie pewnej  
świeżości i nieobciążenia. Nie wychodzę z założenia, że ja  
tu zagrałam dużo, więc mnie należy już inaczej traktować.  
Tak samo nigdy nie miałam takiego stosunku do młodszych  
kolegów. Że gdy ktoś przychodzi, a ja tu pracuję już tyle  
lat, to mnie się więcej należy. Też przecież kiedyś taką oso-  
bą byłam. Czasem jestem jako widz na premierze i myślę:  
ojej, jakbym chciała to zagrać! Ale zaraz nachodzi mnie taka  
myśl: a ilu ludzi marzy o rolach, które ja zagrałam...

*Ech, chyba nie jest Pani aż tak porządna...*

W ogóle nie jestem porządna. Pamiętam, że zagrałam  
Balladynę nie dlatego, że to było oczywiste. Zawdzięczam  
to przede wszystkim dyrektorowi Henrykowi Talarowi.  
Przyjechał Adam Hanuszkiewicz, popatrzył sobie na dziew-  
czyny i miał osoby, które mu pasowały bardziej. Należa-  
łam do osób branych pod uwagę. Talar się uparł, postawił  
na moją wrażliwość, jak mówił. Później, już w czasie prób,  
gdy bardzo się zaprzyjaźniłam z panem Adamem, a bardzo  
mu wiele zawdzięczam - przy tej sztuce, bo później różnie  
to bywało - powiedział: Miał ten Heniek rację, pomyliłem  
się co do ciebie, bo ja nie byłem pewien, czy masz zagrać  
Balladynę. Czasem inni coś w nas dostrzegą, czego my o so-  
bie nie wiemy, a co w nas siedzi utajone i czeka.

*Bo aktor jest do oglądania i do grania. Wróć jesz-  
cze do tego poczucia niepewności... Grała Pani duże role,  
to dużo tekstu, dużo czasu na scenie. Zapewne po latach  
przychodzi refleksja na temat tego, co się osiągnęło. My-  
śli Pani: umiem wszystko, każda rola wymaga tylko czasu  
i pracy, nie muszę się niczego obawiać? A gdybym to py-  
tanie sprowadził do konkretnego? Czego nie umiałaby Pani  
zagrać, gdyby przyszło wystąpić już za kilka tygodni? To  
pytanie o możliwości i ograniczenia...*

Nigdy nie grałam osoby umyślowo chorej, osoby o ta-  
kich problemach. Gdybym to miała dziś robić, nie wiedzia-  
łabym, jakich środków użyć. Myślę, że musiałabym w to  
włożyć bardzo dużo pracy. Ale byłoby to dla mnie bardzo  
ciekawe. Nie chodzi o to, że ten ktoś jest odjechany. Tylko:  
zagrać prawdziwie osobę, która ma problemy psychiczne.  
Takiej roli nie dane mi było zagrać. Myślę, że miałabym  
trudności także z tym, gdyby ktoś zażądał ode mnie, że-  
bym do jakiejś sceny miała się rozebrać. Chyba jedyne,  
co skłoniłoby mnie do neglizmu typowo fizycznego - tak mi

się wydaje dziś – to tylko jeślibym grała jakąś więźniarkę w obozie koncentracyjnym... I to też chyba w filmie, bo w teatrze to nie wiem, czy miałabym odwagę. To też jest rodzaj zadania, z którym, myślę, miałabym trudności.

*Kiedy patrzę na wszystkie role Pani, to widzę głównie takie, które od początku, jak Balladyna właśnie, są w założeniu teatralne, pisane na scenę. Właściwie niewiele Pani grała w repertuarze współczesnym, pomijając farsy. Rozumiem, że tej współczesności Pani by się obawiała?*

Pomijając farsę, bo grałam na scenie tylko w jednej i spektakl „Dwoje na huśtawce”, rzeczywiście nie miałam okazji takiej pracy. Dużo słyszałam o przedstawieniach Klaty czy Jarzyny i czasami myślę, że chciałabym zagrać u takiego reżysera. Niedawno śniło mi się, że jechałam samochodem, wpadłam w poślizg i wjechałam w jakiś kościół, patrzę: próbę Kłata prowadzi... To byłoby pewnie bardzo ciekawe i nowe dla mnie doświadczenie.

*Gdyby Pani miała wskazać role, które były istotne dla Pani rozwoju zawodowego, niezależnie od końcowego efektu, o których Pani myśli: dobrze, że to zagrałam, bo mi się udało to i tamto. Na pewno Balladyna...*

Najbardziej pamięta się takie role, w których odnajdujemy coś, co jest nam bliskie. Nie ma to nic wspólnego z tym, czy rola jest duża czy mała. Rola Balladyny była trudna. Ale było w niej coś mi bliskiego, coś co do człowieka przylega. Wtedy trudność staje się przyjemnością, wciąż. Więc Balladyna na pewno, to nie tylko rola, to przeżycie dla mnie nie tylko sceniczne, które zostanie we mnie do końca, bardzo ważne z różnych względów. Zastanawiam się... Ale to kompletnie inna rola i nieporównywalna, ale też bliska. Postać Hrapkowej ze „Skrzyneczki” w reżyserii Andrzeja Sadowskiego. Bardzo lubiłam tę postać. I Błaznek oraz Pchła Szachrajka. I lubię postać Królowej z „Iwony”. I Fiokły z „Ożenku”. Po trochu każda rola...

*W „Kordianie” Małgorzata Marciniak je bulki. Wszystko byloby pięknie, gdyby nie to, że widziałem dopiero co podobne rozwiązanie w zupełnie innym przedstawieniu...*



Fot. Piotr Dłubak

No cóż, wszystko już gdzieś było... Podobnie jest teraz. Przekonywałam reżysera Laco Adamika, ale tak widać ma być. Bo przecież ja niedawno jako Hrapkowa obierałam ziemniaki. I teraz mam piosenkę w „Kramie” a pomysłem reżysera jest, że mam obierać ziemniaki. Ludzie popatrzą i powiedzą: czy ona nie umie czegoś innego, tylko te ziemniaki i ziemniaki?

*Czuje się Pani popularna?*

Popularność? Wielcy aktorzy grali w świetnych spektaklach, filmach i nie byli rozpoznawani. A dzięki nienajlepszym serialom, gazetom, stali się znani. Kiedyś robiłam zakupy w sklepie, młody człowiek zza kasy spojrzął na mnie i mówi: a pani to w teatrze pracuje. Pomyślałam, w czym ten chłopak mnie mógł widzieć? Na bajkę za dorosły, a moich dawnych rzeczy nie mógł widzieć, bo był wtedy dzieckiem. Powiedział, że był na farsie „Jak się kochają”. Choć jestem taką osobą, powiedzmy, śmieszna, wesoła, to nie lubię grać postaci typowo farsowych – ktoś wskakuje oknem, wyrzucają go, znowu wskakuje i tak wkoło macieju. Nie krytykuję ludzi, którzy lubią farsy ani tych, którzy w nich grają. No, ale nie ukrywam, że są role, które bardziej lubię grać i które gdzieś tam są bardziej moje... Dochodzi czasem do spotkań na ulicy i ktoś mówi: oglądałem, byłem na farsie, fajne, ładne ubrania, trele morele. Przez te 17 lat, a tyle już chyba tu jestem, ludzie rosną, odchodzą z Częstochowy. Kiedy grałam Balladynę, często ludzie kojarzyli. Mówili: to ona ma takie włosy? Mnie się wydawało, że jest wyższa, albo niższa. Czasem jest przyjemnie, fajnie. A potem znowu jest taki etap, że się znika. Nie oszukujemy się, że aż tylu ludzi do teatru chodzi, żeby ich na ulicy spotykać. Ale mnie to nawet odpowiada. Trudno chyba się żyje, jak bez przerwy ktoś głowę zawraca, a zresztą wolę obserwować innych, niż sama być podglądana.

*Ale w serialach też Pani wystąpiła.*

Grałam w odcinkach seriali „Święta wojna”, „Fala zbrodni”, „Pierwsza miłość”. A wcześniej oczywiście w filmie „Darmozjad polski” Łukasza Wyleżalka.

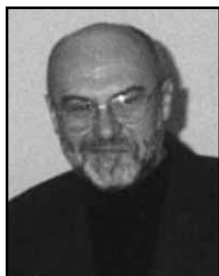
*Teraz „Kram z piosenkami”. Jak się pracuje z Laco Adamikiem? „Kram” to specyficzna struktura. Jest różnica w pracy nad tym spektaklem a pracą nad innymi rolami?*

Jest różnica. Jest to specyficzny spektakl. My jesteśmy przyzwyczajeni do rzeczy mówionych, dialogów. Tu są same piosenki i myślę, że uczę się czegoś nowego. Należę do osób, które jak chodzą po scenie, to muszą wiedzieć, po co. Bo uważam, że jak ja nie wiem, to widz tym bardziej nie będzie wiedział, o co mi chodzi. Specyficzna praca, jest nas na scenie 30 osób i nie ma możliwości, żeby reżyser mówił każdemu indywidualnie, dlaczego to i to ma zrobić. Mówi do wszystkich: „Kiedy mówię spójrzcie w lewo, to spójrzcie, jak ja bym każdemu chciał znaleźć psychologiczne wytłumaczenie... Jest was grupa, spójrzcie w lewo, będzie taki sam efekt.” Pan Laco ma ogromne doświadczenie w pracy z dużymi zespołami, więc mu zawierzyłam. Kiedy pracowałam z Hanuszkiewiczem, to czasem też nie mogłam zrozumieć, czemu mamy naśladować akurat taką intonację, jaką podaje. Różne są metody pracy, nie ze wszystkimi się godzę... A czy ktoś się buntuje? Niektórzy wychodzą z założenia, że niech reżyser powie, gdzie mam przejść, gdzie stanąć. Jak tak nie potrafię. Ja muszę wiedzieć, dlaczego i po co, o czym chcę powiedzieć ludziom na widowni...

*Dziękuję za rozmowę.*



## IN MEMORIAM MAREK OBERTYN (1952 – 2007)



Poznaliśmy się w pierwszej klasie VII Liceum im. Mikołaja Kopernika w Częstochowie. W klasopracowni języka polskiego (prof. Marii Rolskiej, naszej doskonałej polonistki i wychowawczyni) siedzieliśmy obok siebie. Marek dzielił ławkę ze Staszkiem Płonką, z którym stanowili

świetny siatkarski tandem, bo obaj kochali sport.

Cała nasza, dość liczna, klasa była ponoć wyjątkowo zdolna (jak nawiali nauczyciele), bo na skutek ministerialnych reform, stawiających na rozwój szkolnictwa zawodowego, zmniejszono w całej Polsce liczbę licealnych klas pierwszych - w Częstochowie z 24 do 10. Jednak na skutek zbyt dużej ilości młodzieży, która pozostała poza szkołą średnią, dodano dwie, w tym także w naszym liceum.

Marek, jak większość z nas, dojrzewających wówczas młodych ludzi, był nieśmiały, choć czasem młodym gniewnym, trochę nieobecny, trochę zagubiony, trochę błaznującym, trochę zakompleksionym chłopcem. W tym czasie miał już jednak ugruntowaną pasję sportową i... aktorską. Sport był dla Niego fizycznym fetyszem, świetnie rozładowującym stres dojrzewania, jednocześnie przy każdej okazji wykorzystywał możliwość „grania”. Brał udział nie tylko w szkolnych przedstawieniach, ale w rozmaitych konkursach, które najczęściej wygrywał. Był synem inżyniera i bardzo długo mówił, że będzie studiował na miejscowej politechnice, bo tak sobie życzy jego ojciec, człowiek praktyczny. Pamiętam nasze długie rozmowy, w których przekonywałam Go, że powinien koniecznie pójść do szkoły teatralnej, bo drzemie w Nim ogromny potencjał aktorski. Marek oprócz doskonałej dykcji, wtedy intuicyjnego, ale nadzwyczaj celnego interpretowania tekstów literackich (nigdy nie zapomnę absolutnie porywającej interpretacji wiersza Włodzimierza Majakowskiego, którą zrobił na mnie takie wrażenie, że uprosiłam Go, by zadeklamował go na moich imieninach), także pięknie śpiewał. Miał doskonały słuch i bardzo delikatny, subtelny głos, którym poruszająco wykonywał francuskie (po francusku) eteryczne i nastrojowe piosenki.

Pamiętam, jak tuż przed maturą organizowałam akademię na Dzień Nauczyciela, która nie miała być sztafpą „ku czci”, a rodzajem kabaretu. Marek wraz z Iwonką Białą pełnili rolę konferansjerów. W scenariuszu

posłużyłam się tekstami niekoniecznie „jedynie słusznymi”, z których jeden, Jerzego Minkiewicza, będący przeróbką „Reduty Ordonu”, nie przeszedł przez szkolną cenzurę. Marek, który „zabawiał” młodzież szkolną przed wejściem na salę nauczycieli, zaryzykował i tekst powiedział, wywołując nie tylko zachwyt swoją interpretacją, ale i salwy spontanicznego śmiechu.

Niewiele osób wie, że miał propozycję objęcia stanowiska dyrektora częstochowskiego Teatru im. A. Mickiewicza, której nie przyjął. To wtedy przyjechał Henryk Talar.

Marek w tamtym okresie zaczął się skupiać na reżyserii i mam wrażenie, że tak naprawdę to było Jego powołaniem. Kiedy w Teatrze na Woli zobaczyłam Jego sceniczną wersję „Przygód Tomka Sawyera”, z Bartkiem Opanią w roli głównej, nie mogłam uwierzyć, że z pozornie niescenicznego tekstu można było zrobić arcydzieło absolutnie sceniczne. Lubił to i docenianiem takiej swojej roli bardzo się cieszył. Marek był bowiem bardzo pedantyczny, o rzadkiej zdolności ogarniania całości zagadnienia ze wszystkimi szczegółami.

Był też zapalonym żeglarzem, miał wszystkie niezbędne uprawnienia, a także swój własny jacht, który dwa lata temu gruntownie wyremontował. Uciekał jachtem na letni wypoczynek, bo mówił, że nic tak nie hartuje i nie pozwala odreagować zawodowego stresu, jak obcowanie z przyrodą.

Był bardzo ciepłym, serdecznym, życzliwym kolegą, chętnie podtrzymującym kontakty i to On właśnie namówił mnie do zorganizowania spotkania naszej klasy na 30-lecie matury w 2001 roku. W listopadzie ubiegłego roku, w pięć lat po poprzednim spotkaniu, miało miejsce kolejne, na które jako pierwszy się zgłosił, ale w ostatniej chwili nie dojechał, zachorował na grype.

A my, obecni, umówiliśmy się wtedy na kolejne już za rok, bo ktoś powiedział, że pięć lat to zbyt długo, bo możemy się już w takim gronie nie spotkać... Słowa te okazały się prorocze i Marka Obertyna nie zobaczymy już wśród nas – On wędruje ku wieczności...

*Joanna Dąbrowska-Grochowska*



Boisko LO im. Kopernika. Koniec lat 60.

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Władysław Ratusiński

## OPOWIEŚĆ O ŚWIĘTYM KRZYŻU

Fotografie Zbigniew Burda

Nad północną pierzeją Rynku Wieluńskiego<sup>1</sup> góruje prosta, lekko rozrzeźbiona bryła zbudowanego z czerwonej cegły neorenesansowego kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego, zwieńczona zgrabną barokową sygnaturką, urozmaicona dzwonnica, połączoną z kościołem krążankiem. Ze wzgórza, ponad dolinką Rynku - miedzianym dachem i zielonym światelkiem z małej sygnaturki rozmawia z jasnogórską wieżą. A kiedy patrzymy od północy, z pół tu jeszcze zachowanych, na panoramę miasta, która rozwija się od kominów huty, przez strzeliste wieżycy katedry i kościoła ewangelickiego, kopuły świętego Jakuba i nowej cerkwi, wspina się drzewami parków ku Jasnej Górze - Święty Krzyż jest wysuniętym na zachód wyrazistym i miłym akcentem, spinającym panoramę w harmonijną całość, stanowiąc jeden z orientacyjnych punktów w rozszerzającej się i zagęszczającej tkance miasta.

Kościół p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego w Częstochowie, u zbiegu ulic Sikorskiego i Bialskiej, wzniesiono staraniem proboszcza, ks. Antoniego Mielnińskiego, w latach 1949 - 1956, według projektu Frydolina K. Sachse z Krakowa. Katalog zabytków podaje informację o znajdującym się w kaplicy kościoła ołtarzu barokowym z II połowy XVIII w., złożonym z elementów kilku ołtarzy, z dziewiętnastowiecznym obrazem św. Józefa. Obecnie ten ołtarz - w dobrym stanie - jest w kruhcie kościoła, choć nie wiem, czy to dla niego najodpowiedniejsze miejsce.

A świątynia to nie tylko mury. "Czy wy wiecie, że jesteście świątynią?" - śpiewa biskup Długosz.<sup>2</sup> Wy jesteście świątynią Boga - mówi Pismo. Świątynią z żywych kamieni.

Od tych czasów, gdy rodzinie chodziliśmy na niedzielne msze do Świętego Krzyża, spiesząc ulicą Łódzką, bo już przebrzmiała sygnaturka, upłynęło lat wiele-niewiele. Wokół rozległe pola z wąskimi miedzami i sady kwitnące ciepłą bielą czereśni i wiśni, śliw i grusz.

Jabłonie różowieją całe w pąkach, uwijają się szpaki w tęczowoczarnych fraczkach, małe domki drzemią w ogrodach, błękitnieją dymy z kominów na rozgrzanych upalnym południem dachach. Stare, rozkrzaczane mirabelkowe drzewa, oddzielające na ulicy Wysockiego szpalerem drogę od łąki, stoją w marcu białe od mnóstwa pachnących kwiatów, potem zwykle w ich kolczastych gałęziach wśród listowia gnieźdzą się w szarych oprzędach mało sympatyczne żarłoczne gąsienice, objadające liście do gołych gałązek. Nad pola, z bruzd ziemi, szare jak ona, wczesną wiosną wzbijają się wysoko skowronki ze śpiewem, że aż je trudno dostrzec zmrużonymi od słonecznego blasku oczyma, zawisają nieruchomo w przestrzeni, trzepiąc tylko skrzydełkami i nie przerywając nawet na chwilę podniebnej koloratury - a potem, jak szare kamienie, opadają ze zwiniętymi skrzydłami, rozwijając je tuż nad ziemią. Powtarzają ten rytuał niestrudzenie po wielokroć, oznajmiając pobratymcom swoje istnienie, a ludziom i Bogu dostarczając bezinteresownie spokojnej radości. Ozimina rośnie zielonymi źdźbłami, z których można robić piszczałki, podobnie jak z łądek mniszka z białym mleczkiem, pustych w środku. Kiedy się je do ust włoży, różnej grubości i długości, każda z przygniecioną końcówką, aby był ustnik, i wpuści się w nie jednym tchem strumień powietrza, wydają dźwięki zharmonizowane i bogate. Potem w ogródkach warzywnych i na zagonach nabierają krągłości głowy kapusty, srebrnoszmaragdowe i sine, czerwonymi żyłkami pulsują liście buraków, nasturcje wspinają po płotach długie łodygi z ognistymi kwiatami w ostrogach, słoneczniki obracają się



<sup>1</sup> O kościółku Pana Jezusa Konającego na Rynku Wieluńskim - w kolejnej części cyklu

<sup>2</sup> na wydanej niedawno płycie "Chrześcijanin tańczy"

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

za słońcem. Sterczą wyprostowane kwietne kolumny - malwy w różnych kolorach, żółte dziewanny. Wieczory przesyca zapach maciejki, rezedy i ozdobnych tytoni. Pola, nad którymi w majowe poranki zawisał obłok pyłku z kwitnących zbóż, szeleszczą już na wietrze kłosami dojrzałego żyta i pszenicy, łącząc ich zszarzałe żółcienie z intensywnym błękitem cha-brów, rzešką czerwieni maków, poważnym fioletem kąkoli. Po niebie płyną powoli kumulusy, kłębiąc się aż po widnokrąg, po ziemi wędrują za nimi strefy słonecznego blasku i podobłocznego cienia, w dalekim pianiu kogutów, stłumionym naszczekiwanii psów, ostrych okrzykach bażantów, skrzypiącym odzwie kuropatw.

W drugi dzień Zielonych Świąt odprawiano mszę w kapliczce wśród brzozy na ulicy Białskiej (może dalej tak się dzieje?), a potem procesja szła święcić pola. Kapliczka nadal stoi i rosna brzozy w alei, choć trochę przeredzone.

Po niedzielnej mszy niektórzy parafianie zostawali w kościele, rozsiadali się w ławkach, mężczyźni po lewej, kobiety po prawej stronie głównej nawy, i z namaszczeniem otwierali książeczki do nabożeństwa, by na dwa chóry a capella, odśpiewać godzinki czy nieszpory, niczym w wiejskim kościółku, wrzaskliwie nieco, kobiety głosami przenikliwymi, mężczyźni mocnymi, zdecydowanymi. Jak godni gospodarze na wsi.

Wiejski krajobraz otaczał ten kościół, gdy nie było tu jeszcze osiedli bloków. Za to w miejscu, gdzie teraz alejki prowadzą przez duży skwer czy park, zachował się zespół stodoł z kamienia wapiennego. Były też takie na posesjach przy ulicy Marconiego. Nikt nie pomyślał, by je objąć ochroną. Ostatnia piękna stodoła stała do niedawna na małej skarpie, tuż przy szkole. Szkoda, że nikt jej nie kupił, gdy była do sprzedania, nie wyremontował, nie przeznaczył choćby na małe muzeum szkoły czy dzielnicy.

Na polach w okolicy ulic Łódzkiej i Białskiej, aż pod Kiedrzyń, uprawiano warzywa. Kupowało się

na zimę zapasy kartofli, marchwi, buraków, kapusty, selerów i porów, pietruszki, zimowych odmian pachnących orzeźwiająco jabłek; przechowywało się to wszystko w piwnicy - na półkach jabłka, odwrócone szypułkami w dół, warzywa zagrzebane w piasku. Przywoził je syn państwa Jabłońskich z ulicy Wysockiego. Naprzeciw naszego domu, po drugiej stronie ulicy, jesienią powstawały rzędy długich kopców z warzywami, których pilnował strażnik w budce. Otwierano te kopce na przedwiośniu. Niedaleko rozpościerał się stary sad i pola, gospodarstwo państwa

Kmieciaków, znajomych dziadka i babci. Michał Kmieciak, kiedyś pracujący na Jasnej Górze, starszy, czerstwy mężczyzna z sumiastym wąsem, w kape-luszu, jeździł konnym wo-zem. Malownicza zagroda zniknęła, gdy poprowa-dzono tam nową ulicę i zbudowano bloki. Znikł także ubogi maleńki, obi-ty papą drewniany domek, w którym mieszkał ze swą matką jeden z chłopców z mojej klasy. I nie było już obok dużego dołu, skąd wybierano piasek i glinę.

Po jednej stronie ulicy Okólnej, w parafii św. Jakuba, pan Gołąb hodował kozę, ale pasał ją na trawie po drugiej stronie ulicy, czyli już w parafii św. Krzyża. Drewniany domek nadal stoi, zachowany przez obecnych właścicie-li. W czasie roztopów i po większych deszczach ulicą spływały z górki strumienie, można w nich było piętrzyć tamy, puszczać

patyki niczym statki. Po drugiej stronie mojej ulicy, przez gałęzie jabłoni i czereśni w sadzie państwa Kmieciaków, widywało się księdza od św. Krzyża w komży, ze stulą, jak chodził święcić wielkanocne pokarmy. Wiosną i latem w ogrodzie pachniały akacje, bzy i jaśminy, floksy i piwonie. A zimą, w oprawie arabesek bżowych krzewów i kolczastych koron akacji, ciemnych lub oszronionych, albo przygiętych czapami śniegu, w śnieżnych połaciach rażącej biele, skrzących słonecznymi iskierkami, poprzecinanych niebieskimi cieniami - rysował się na tle nieba szlachetną sylwetą kościół św. Krzyża, górujący



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

nad domkami, które przycupnęły wśród sadów, pól i opłotków. Dobrze wtedy widoczny z okien naszego domu, towarzyszył mi od wczesnego dzieciństwa i był tematem wielu moich prób malarskich.

Po drodze do kościoła, przy ulicy Sikorskiego, w głębi sporego, zarośniętego krzewami i drzewami placu, stał stary domek z nową, ceglana przybudówką, z ciemną, tajemniczą sienią, gdzie kiedyś piętrzyły się klatki, w których króliki ruszały śmiesznie wąsami i chrupały marchew, gdy im się ją ostrożnie wsunęło przez pręty. Mieszkali tam Leonard i Anna z Pietrzykowskich Przybylscy. Dom krył historię, szkoda, że nie zapamiętałem dokładnie. Konspiracja, Armia Krajowa, Radiostacja? Ulotki ukryte pod pierzyną? Niemcy wpadają, rewizja. Otwierają drzwi do pokoiku, ktoś się schował za otwartym skrzydłem? Nie znaleźli. Za domem warzywny ogród, pięknie uprawiony, wśród grządek dwie malownicze sosny. Był czas, gdy Leonard Przybylski na światłoczułą błonę łowił iskierkę blasku z jasnogórskiej wieży. Ciocia Hania zastawiała swą szanowną osobą otwór w psiej budzie, by umożliwić gościom bezpieczne wejście do domu, pilnowanego przez wierne a groźne i rozszczekane psy. Na lipcowych imieninach u ciocie Hani spotykało się jej brata, pomrukującego jak zadowolony miś i bratową, drobną, ruchliwą i rozmowną. Prosto z ogrodu smakowały najlepiej wielkie owoce agrestu i malin, sałata, zielony groszek, olbrzymie pomidory o fantazyjnych kształtach i delikatnym miąższu, chluba gospodyn.

Przy ulicy Sikorskiego, u stóp wzgórza z kościołem - szkoła. Biegało się do niej na skrót, wydeptaną ścieżką przez kalaflorowe pole pana Szczecińskiego, chyba że było przedwiośnie - wtedy pole zamieniało się w wielkie bajoro. A dalej droga prowadziła obok zagrody z drzewem morwy, sypiącym na ziemię ciemne owoce. Wyciągniętą z teczki szkolną czapkę zakładało się na rogu ulicy Sikorskiego - i biegło dalej, z obowiązkową tarczą na rękawie i kapciami w wor-

ku. Przed szkołą nr 1 kwitły czerwone rabatowe róże, sadzone za rządów zapobiegliwego kierownika, pana Klimczaka. Niewysoki, charakterystycznym chodem przemierzał szkolne korytarze, z wzniesioną głową, ręce opuszczone przy udach, tylko dłonie, wierzchem ku górze, odchylone prawie pod kątem prostym, akcentowały płynność ruchu. Do klasy wchodzi wychowawczyni pierwszych lat, pani Janina Waśniewska, troskliwa, z łagodnym uśmiechem. Spotkana po latach elegancka, krucha starsza pani pamięta, interesuje się, cieszy. Wychowawca w klasie szóstej, Tadeusz

Dyłuś. Zawsze miałem dobre oceny, ale w tym roku najlepsze. W liceum - pani Alfreda Mrozek uczy polskiego, Barbara Majorek - matematyki, pani Markowska - fizyki, chemii - pani Jankowska, angielskiego - pani Miluk i pani Wilczyńska, rosyjskiego - pani Krygier, geografii - Jerzy Dobrzyński, historii - Aleksandra Gdesz i Stefan Kwieciński, dyrektor. Kapitan Bolesław Stępień prowadzi przysposobienie wojskowe, a pan Kupczyk - wf. Z polecenia profesora biologii, Kazimierza Miszczuka (jego ulubione powiedzonko, gdy nie udzieliło się poprawnej odpowiedzi: "Prześtań głupio mówić", wypowiedane powoli, niskim, stłumionym głosem) uczniowie sadzą młode drzewka różnych gatunków, rośnie tu teraz cały las. A wcześniej na boisku pan Czyżewski przekomarza się z woźnym Jabłońskim,

obaj odgrywają dla uczniów śmieszne scenki, istny kabaret. Wysoka pani Łazuch uczy rysunków. Henryk Czarniawski gra na skrzypcach i opowiada o jeździe luxtorpedą. I koleżanki, koledzy. Przesuwają się twarze, imiona. Gdzie są teraz?

Był czas, gdy jeszcze kultywowano - dziś chyba całkiem zapomniany - szkolny zwyczaj trzymania w czasie lekcji rąk założonych do tyłu. Miało to tę dobrą, zwłaszcza dla nauczycieli, stronę, że ktoś, kto trzymał tak ręce, musiał siedzieć w miarę spokojnie czas jakiś; uważano to również za znakomite ćwiczenie wyprostowanej postawy. Pani katecheta - osoba





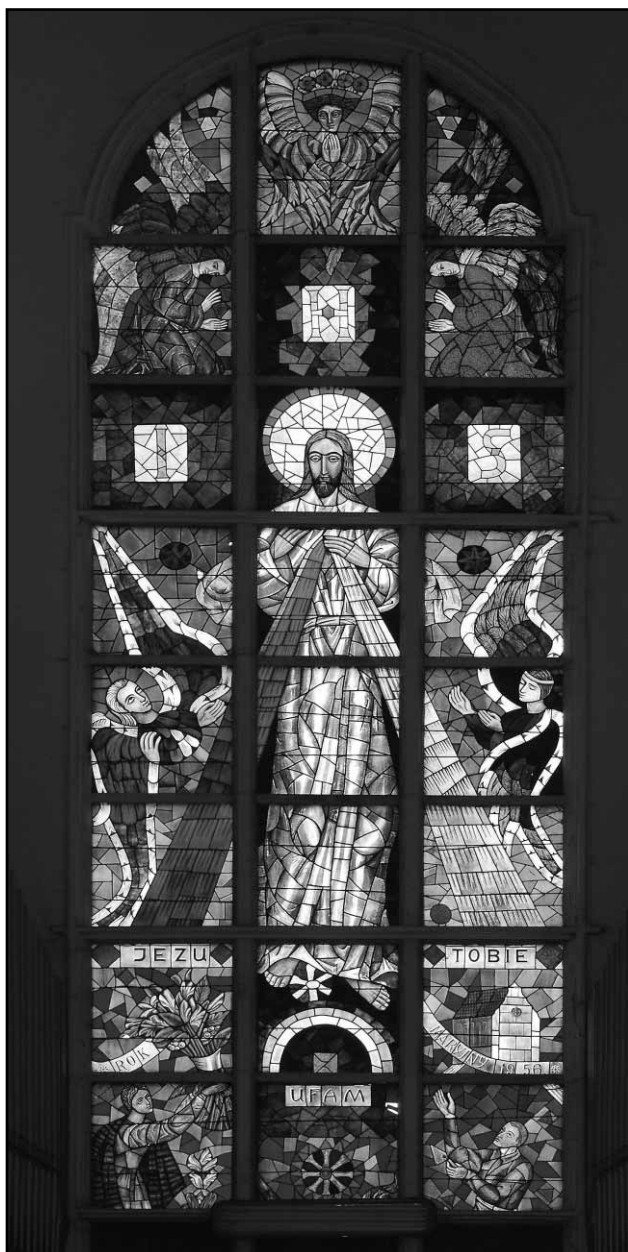
# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

świecka, a może członkini zgromadzenia bezhabituowego - była tej postawy wzorem. Z łatwością demonstrowała, jak wysoko, aż do upiętego koka, może dzięki temu sięgnąć założonymi do tyłu rękami. Pani katechetka umiała bardzo ciekawie prowadzić lekcje religii, wciągała wprost dzieci w biblijne historie. Nie miała kłopotów z utrzymaniem porządku na lekcjach. A w nagrodę za grzeczną, na zakończenie - był to najbardziej oczekiwany moment - czytała kolejny fragment pasjonującej powieści o ciężkim losie pobożnej dziewczynki katolickiej, którą gnębiła zła macocha, ewangeliczka (!). Trzeba trafu, że do klasy przyszedł nowy uczeń. Wiadomo było, że jest ewangelikiem. Nazwisko miał obce, nietypowe, w języku polskim w dopełniaczu brzmiało jak popularne prze-

kleństwo, co stwarzało sytuacje dość zabawne („czyje to kredki?....”). Otóż, zaproszony przez kolegów z klasy - nowy uczeń przyszedł na lekcję religii. Przecież wasza wiara jest tak podobna do naszej - mówiłem do niego na przerwie; przeszedł na drugą stronę korytarza, z zakłopotanym uśmiechem nie chcąc kontynuować rozmowy. Kiedy opowiadałem o tym w domu, rodzice dali mi do zrozumienia niedelikatność mojego zachowania. Byłem zdziwiony. Katechetka przywitała nowego ucznia serdecznie, rozwinęła cały swój kunszt w opowiadaniu o którymś z biblijnych patriarchów czy proroków, tak że na lekturę powieści już czasu nie starczyło. Teraz wiem, że zapewne okazała takt - wtedy zupełnie nie zauważałem niezręczności sytuacji. Ale na następną lekcję religii kolega już nie przyszedł. Pewnie też opowiedział w domu i jego rodzice uznali to za próbę „nawracania”. Takie to było moje pierwsze zetknięcie z ekumenizmem. Kolega był w klasie traktowany dobrze. Ale widać zdarzyło się coś poza szkołą. Jakieś cechy wyglądu, zachowania, w połączeniu z odmiennością wyznania, mogły spowodować reakcję na „innego”, usłyszał przezwisko „ewanielik”. Pamiętam, jak wychowawczynie, wierząca i praktykująca katoliczka, tłumaczyła dzieciom spokojnie i stanowczo, czyniąc wyrzuty za ten incydent. Kolega wkrótce zmienił szkołę.

Chyba prawie wszyscy nauczyciele byli wierzący, chodzili do kościoła. Wychowawczynie w liceum, polonistka, ukończyła studia na KUL-u. O religijnym zaangażowaniu innej pani uczącej polskiego (p. Otrębska) - dowiedziałem się po latach na jej pogrzebie, w kościele św. Krzyża, ze słów proboszcza, ks. Gilskiego. Komunistyczna propaganda trafiała do szkoły tylko w najbardziej obowiązkowym zakresie, albo w ogóle była ignorowana. a nawet - niektórzy dawali śmiały wyraz niezależnym przekonaniom. Drobnym słowem, dłuższymi wypowiedziami, reakcjami na zdanie uczniów. Takie niekonwencjonalne opowieści snuł na przykład pan Czyżewski. Czasem jedno zdanie, odbiegające od oficjalnej propagandy, zapadało szczególnie w pamięć. Jak choćby Henryka Czarniawskiego wzmianka o Piłsudskim, jako o wielkim człowieku, który teraz jest pomijany, bo walczył z bolszewikami, ale przyjdzie czas, że zostanie doceniony...

Skoro tyle uwagi poświęciłem koledze, który pojawił się epizodycznie, wypada chociaż z imienia i nazwiska wymienić niektórych, najbliższych. Chłopaki z Rocha, z Rynku Wieluńskiego. Wspominam ich bardzo ciepło: mili, koleżeńscy. Spacerujemy wkoło razem po szkolnym korytarzu na przerwie, przyjacielskim gestem obejmują mnie ramieniem, pytają o coś z lekcji. Wracamy ze szkoły, rozmawiamy o wszystkim, o świecie. Czasem odwiedzam ich w domu, czasem przychodzą do mnie. Zbyszek Skorupski. Wiem, że w dorosłym życiu jeździ taksówką.



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Wojtek Michalski z siostrą. Tadek Brandt. Włodek Deska. Janek Pietras. Zdzisiek Wyreback. Kazio Hubicki, Fredzio Dyluś, Rysiek Raczek, Zbyszek Cudak, Maciek Miłkowski, Jurek Kowalski. Kurzynoga, Zasada, Kowalczyk. Niektórzy z pierwszych szkolnych lat, gdy w ogrodzie tworzyliśmy z Bronkiem i Jackiem Froniami i Jackiem Gaszlerem średniowieczną fortecę, a królewski sztandar, z orłem mojego pędzla, powiewał nad okolicą na wysokim drzewcu, zatkniętym na wierzchołku starej wiśni. Z metalowych, błyszczących ażurowych pasów, pozostałych na stercie za płótem u sąsiada po pracy na wykrojniku, można było zrobić rycerskie hełmy i zbroje, a zozczepianych arkuszy malowanego przeze mnie pakowego papieru - szaty pontyfikalne biskupa (to ja), koronę i płaszcz królewski (dla Bronka) - i nic już nie stało na przeszkodzie, aby się odbywała uroczysta koronacja. Cały orszak koronacyjny wędrował dwa domy dalej, na pięterko, do babci Bronka, aby się pochwalić - i uderzyć w klawisze pianina czy fortepianu, a potem zagrać na ustnej harmonijce, w czym Bronka był wirtuozem.

A inni z lat późniejszych, z liceum. Nie tylko parafianie świętego Krzyża. Józek Jung. Siedzi za granicą, jak sobie zaplanował. Adam Heluszka, inżynier zootechnik. Marysia Widerska, córka kolegi mojego taty. Chemik. Jej mama malowała wesołe obrazki do pamiątek. Jola Kędzia. Danka Strąk. Marysia Sowa. Marysia Kruk. Wiesiek Górka. Wojtek Mikus. Andrzej Dobrzyński, Jurek Łągiewka. Tomek Śmielowski. Inżynier po Akademii Rolniczej. Ma pizzerię La Bella. Andrzej Wójcik. Inżynier na Śląsku. Leszek Adamski. Wojtek Frej. Janek Sikorski, Janek Chład. Marek Nocoń. Przez lata na kierowniczym stanowisku w Hucie Katowice. Jurek Kocyga. Wiceprezydent miasta, obecnie zastępca dyrektora Miejskiego Zarządu Dróg. Wreszcie znany jazzman, laureat prestiżowych nagród, twórca i szef „Five o’Clock”, Tadek Orgielewski - to też mój kolega z klasy.

Przesuwa się galeria postaci duchownych pracujących w parafii św. Krzyża. Ksiądz kanonik Antoni Mietliński, budowniczy kościoła. Wyprzedzając reformę liturgiczną II Soboru Watykańskiego próbował ożywić udział parafian we mszy św., podkre-



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

ślić wspólnotę modlitwy. Wprowadzał zwyczaj, aby wszyscy podczas Modlitwy Pańskiej wznosili, tak jak celebrans, rozłożone w modlitewnym geście ręce, zaznaczając w ten sposób swój świadomy współudział w odprawianiu mszy. Ubrany w kanoniczną pelerynkę ksiądz stoi w prezbiterium, już chory, z kieszeni wyciąga małą buteleczkę, zażywa lekarstwo, gestem otwartych ramion zachęca wszystkich, by wznosili ręce. Ksiądz kanonik Augustyn Kańtoch, były więzień hitlerowskiego obozu, tęgi, jowialny. Jemu to przypadło w udziale bronić polskich biskupów atakowanych przez władze komunistyczne po sławnym liście do biskupów niemieckich. Sytuacja była trudna. Argumenty władz trafiały do przekonania wielu, niektóre sformułowania listu wydawały się trudne do przyjęcia. Zmasowana propaganda też robiła swoje, w szkołach i zakładach pracy organizowano wiece i protesty, i w takiej atmosferze trzeba było wyjaśniać, że biskupi bynajmniej nie zdradzili interesów Polski. Chyba jeszcze nie rozległo się potężne „Przebaczymy” na wezwanie kardynała Wyszyńskiego podczas wieczornego nabożeństwa na błoniach Jasnej Góry. Tym bardziej nikt nie mógł wiedzieć, że niedługo będzie podpisany układ między rządami PRL i zachodnich Niemiec, nastąpi znany gest kanclerza Brandta. Nie mówiąc już o dalszym biegu historii, która doprowadziła do upadku berlińskiego muru. Na razie szalała propaganda, a na wałach Jasnej Góry i na domu biskupim pojawiły się wymalowane nocą wielkie litery wrogich haseł. Na jasnogórskich murach paulini przez lata zachowywali na świadectwo napis o biskupach polskich, którzy „zasprzedali się” biskupom niemieckim. Prymas Wyszyński, arcybiskup wrocławski Bolesław Kominek, metropolita krakowski Karol Wojtyła wyjaśniali swoje intencje w odważnych kazaniach.

Teraz już wiemy, jak historyczne znaczenie miała tamta wymiana listów przed Millenium. Nie upłynęło wiele czasu i historia przyznała rację profetycznemu gestowi wyciągniętych z ław soborowych dłoni. Za parę lat ten sam Władysław Gomułka, który tak gromił biskupów, podpisywał układ z Republiką Federalną Niemiec (jak się to w oficjalnej polszczyźnie wtedy nazywało: Niemiecką Republiką Federalną), a kanclerz Willy Brandt klękał w Warszawie przed Pomnikiem.

A tymczasem były wielkie uroczystości Millennium Chrztu, niewpuszczenie papieża Pawła VI do Polski. Triumfalne przejście Aleją Sienkiewicza na Jasną Górę papieskiego legata, kardynała Stefana Wyszyńskiego. I trzociemajowa suma, odprawiana przez kardynała Wojtyłę, z kazaniem Prymasa.

Przesuwa się galeria księży od świętego Krzyża... Następny proboszcz, ks. Marian Łosoś, były więzień UB. Trzeba tu jeszcze wymienić nazwiska kolejnych proboszczów: ks. Władysław Maciąg, ks. Franciszek

Dylus, ks. Kazimierz Mielczarek - oraz obecny (od 1991 r.) - ks. Zdzisław Gilski. Charakterystyczne dla stylu obecnego proboszcza jest łączenie duszpasterskiej gorliwości z wyrazistym akcentowaniem politycznych sympatii, co wyraża się także w jego kazaniach. Może to zauważyć bez trudu i przygodny gość, bardzo rzadko tu bywający. W parafii działa kilka ruchów i organizacji katolickich, o ich liczebności informuje strona internetowa. W kościele miało miejsce rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego siostry Anieli Róży Godeckiej, jej doczesne szczątki umieszczono w specjalnej kaplicy. Podczas uroczystej konsekracji kościoła, która odbyła się 14 września 1998 r., arcybiskup Stanisław Nowak otworzył kaplicę Golgoty z relikwiami Krzyża św. Wymaga ona odpowiedniego opracowania artystycznego. W 1999 r. nastąpiła intronizacja Chrystusa Króla. Przy kościele zostało również ustanowione Bractwo Krzyża Świętego, którego rzucające się w oczy stroje można widywać na ulicach miasta z okazji uroczystych procesji. Na terenie parafii ma swe domy kilkanaście zgromadzeń zakonnych. Działają też: dom opieki, domy dziewcząt, chłopców i księży emerytów - a także redakcja „Niedzieli” oraz Dom Pamięci Stefana Kardynała Wyszyńskiego.

Niech wspomniani będą przynajmniej niektórzy księża prefekci, wikariusze od św. Krzyża. Ksiądz Bronisław Panek. Pisałem o nim jako o proboszczu u św. Stanisława Kostki, w kościółku Najświętszego Imienia Maryi w III Alei. Pamiętam z lekcji przygotowującej do I Komunii św. jego pytanie do dzieci: czy w każdym kawałeczku hostii jest cały Pan Jezus. Umiałem na nie dobrze odpowiedzieć. Do Pierwszej Komunii przystąpiłem w kościele św. Krzyża, z koleżankami i kolegami ze szkoły. W granatowym garniturku - marynarce i krótkich spodenkach, białej koszuli z kołnierzem a' la Słowacki, z białą kokardą na ramieniu, z dużą świecą, do której za białą wstęgą zatknięty był cały bukiet białych pachnących goździków. Podchodziliśmy rzędami, wchodzili na wysokie schodki, klękali przy balaskach, nakrytych przez ministranta białym obrusem, który wcześniej wisiał jak franka po ich wewnętrznej stronie. Potem obrazek z podpisem księdza Panka. I portretowe zdjęcia, czarno - białe, do połowy i w całej postaci, w sztucznej scenerii fotograficznego studia w Alejach. I małe zdjęcie grupy przy pomniku o. Kordeckiego na wałach Jasnej Góry.

Ksiądz Legutko. Księża Janus i Bogus. Ci dwaj byli równocześnie w parafii - i stanowili swoje przeciwieństwo. Pierwszy - spokojny, zrównoważony, z większą trudnością radził sobie z rozzuchwalonymi łobuziakami. Drugi - brunet o kręconych włosach, w malowniczej czarnej pelerynie - energiczny, czasem nawet groźny, wpadający w gniew. W kazaniach zaś nie stronił od śmiałych odniesień do dyskryminacyjnej wobec katolików polityki władz. Dynamiczny

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

ksiądz Bogus porywał dzieci do wspólnego śpiewu na niedzielnej mszy, co mu sprawiało widoczną radość. Repertuar jest znany i dziś: „Kiedyś, o Jezu”. „Bóg jest miłością”, „Jak szczęśliwa Polska cała”. „Króluj nam, Chryste”. Zdarzył się kiedyś następujący przypadek. W czasie wizytacji parafii biskup Zdzisław Goliński stał na wysokiej, drewnianej ambonie - bo jeszcze wtedy kazania mówiło się z ambony - zaś ksiądz Bogus na dole, wśród dzieci. I biskup ordynariusz zaprosił go do siebie, aby dzieci patrzyły nie tylko na swego prefekta, ale i na biskupa, który przecież jest rzadkim gościem. A po mszy kupowało się przed kościołem sympatyczny miesięcznik, „Msza Święta” wydawany przez Towarzystwo Chrystusowe.

Ksiądz Bronisław Kocpzyński, ksiądz Kuliberda, ksiądz Dyrda - bardzo się starali. Ksiądz Zenon Raczynski, przyszyły kapelan „Solidarności” i proboszcz u św. Józefa, najlepiej sobie umiał radzić z rozbrykanymi młodzieńcami: interesującym prowadzeniem zajęć, jasnym wykładem, stanowczością - i szczerością, bezpośredniością. Mam w oczach obraz sali katechetycznej w domu parafialnym: ławy, duża figura Pana Jezusa, czarna tablica. Najpierw oczekiwanie, gdy się przyszło trochę wcześniej - na dworze, albo w korytarzu, sionce. I księdza rozmawiającego przed zajęciami, czekającego na schodzących się uczniów, zamaszycie, na niby, boksującego w sutannie z moim kolegą Wojtkiem. I ksiądz Misiara. Sympatyczny, młody kapłan, zmarł nagle podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej. I księża wywodzący się z parafii - z naszej szkoły. Wśród nich - starszy kolega, Tadeusz Zasepa. Profesor KUL-u, później założyciel prywatnej wyższej szkoły biznesu. I kolega z klasy, Andrzej Michalak, tańczący na szkolnej zabawie z Anką Marcisz.

Przesuwa się galeria postaci, niby w ruchomej szopce, która kiedyś była w kościele. Postaci pojawiają się i nikną, w pamięci ożywa jakiś gest, głos, dotknięcie dłoni, jakaś sylwetka, twarz, ruch, sytuacja. z całego człowieka - jeden rys, czasem istotny, czasem zupełnie przypadkowy i mało znaczący.

Sam kościół i jego otoczenie też zmieniają się w ciągu lat. Widać gospodarską troskę. Ze względów konstrukcyjnych wymieniono pokrycie dachu. Ceramiczną dachówkę, która okazała się zbyt ciężka, zastąpiono miedzianą blachą. Też ładnie. Na skwerze opodal buduje się dom parafialny. Zakłóci on nieco widok na kościół. Gorzej, że przed głównym wejściem dobudowano krużganek. W przeciwieństwie do tego, który łączy kościół z dzwonnica - nowy krużganek niezbyt tu pasuje, psując w pewnym stopniu samą bryłę kościoła. A szczególnie brzydko wygląda blaszany daszek.

Kościół św. Krzyża w swoim wnętrzu długo zachował surowy, wręcz ascetyczny charakter. Tworzyło to szczególnie sugestywną oprawę liturgii Wielkiego

Piątku. Później, według dobrego projektu, wnętrze pomalowano w harmonijnych zestawieniach błękitów i żółcieni, co uczyniło je przytulniejszym, ale nie pozbawiło szlachetnej prostoty. We wnętrzu zupełnie niepotrzebnie pojawiają się dekoracje i napisy wykonywane w stylu świetlicowo - styropianowym, z pewnością w najlepszej wierze i w szczerzej intencji ozdobienia Domu Bożego. Warto jednak pamiętać, co na temat wnętrza sakralnych napisano już sporo lat temu w dokumentach Kościoła - które nie przestały obowiązywać. Zaś owe dekoracje nie są bynajmniej specjalnością tylko tej odwiedzanej przez nas świątyni.

Święty Krzyż był jednym z nielicznych częstochowskich kościołów z witrażami. I są to dobre witraże. Boczne okna przedstawiają świętych patronów, witraż w kształcie tonda nad głównym ołtarzem - Trójcę Świętą, z Bogiem Ojcem jako starcem z siwą brodą, czego tak dziś katechetycznie nie lubi biskup Długosz. Bóg Ojciec w królewskiej purpurze zasiada na katedrze, wychyla się z lekka, wyciąga ramiona w geście Opatrzności. Trójkątna aureola wieńczy Mu głowę. Duch Święty unosi się jako gołębica. Obecność Syna symbolizuje krzyż stojący na katedrze obok Boga Ojca. Zaś duże okno naprzeciw, nad chórem - to chyba jedno z pierwszych w ogóle witrażowych przedstawień Jezusa Miłosiernego według wizji siostry Faustyny. Przez barwne szyby wpadają promienie zachodniego słońca, kościół jest bowiem, zgodnie z dawną tradycją, orientowany na wschód.

*Władysław Ratusiński*





**Dzieje Biblioteki Publicznej  
im. dr. Władysława Biegańskiego (II)  
LATA INTENSYWNEGO  
ROZWOJU**

Po przejęciu biblioteki przez miasto w początkach 1925 r., placówka ta – już pod nazwą Biblioteka Miejska im. dr. W. Biegańskiego – przeniesiona została z gościnnych pomieszczeń domu dr. S. Nowaka do budynku przy ul. Dąbrowskiego 10/14. Bibliotece przydzielono tu jeden pokój na parterze służący za wypożyczalnię, czytelnię i magazyn. Ciasnota stwarzała trudne warunki, zwłaszcza dla korzystających z książek i czasopism na miejscu.

Nad działalnością biblioteki czuwało tzw. kuratorium, którego przewodniczącym był dyrektor gimnazjum im. H. Sienkiewicza – Wacław Płodowski. Opracowany w 1925 r. regulamin przewidywał m.in., że biblioteka czynna będzie w poniedziałki, wtorki, czwartki, soboty (od 17 do 19) i niedziele (od 15 do 17). Kaucja za wypożyczenie książek naukowych miała wynosić 10 zł, beletrystycznych – 5 zł, a opłata miesięczna za wypożyczanie książek – 1,50 zł. Młodzieży szkolnej przysługiwała 50% zniżka. Zastrzeżono, że książki nie mogą być wypożyczone na dłużej niż jeden miesiąc, a za każdy dzień dłuższego przetrzymania trzeba płacić 10 groszy kary. Regulamin ten przetrwał w zasadzie do 1939 r. w różnych okresach wprowadzano jedynie drobne zmiany i uzupełnienia. Np. w 1930 r. ustalono, że biblioteka czynna będzie codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godziny 16 do 20, opłatę miesięczną za wypożyczanie książek ujedynolicono na 1 zł, a kaucję na 10 zł (dla młodzieży szkolnej 5 zł).

Kuratorium omawiało na posiedzeniach sprawy związane z zakupem książek i czasopism, a także sporządzało pisma kierowane do Magistratu m. Częstochowy o wyasygnowanie odpowiednich funduszy na zakup książek. Dzięki staraniom kuratorium, w 1926 r. lokal biblioteki powiększony został o sąsiedni pokój, w którym urządzono czytelnię. Ale okazało się, że w pomieszczeniach parterowych jest wilgoć i książki zaczynają niszczyć, stąd też jesienią 1927 r. biblioteka została przeniesiona na piętro tegoż budynku. Pomieszczenia składały się tu z dwóch izb. W większej urządzono czytelnię, a w mniejszej wypożyczalnię i magazyn. Ożywiona początkowo działalność kuratorium w latach 1927-28 zaczęła maleć. Ostatni zachowany protokół z posiedzenia kuratorium nosi datę 18 października 1928 r.

Obsada personalna biblioteki w latach 1925-1939 nie uległa zmianom. Kierowniczką i bibliotekarką była Wiktoria Wolańska. Do jej czynności należało wypożyczanie książek, udostępnianie książek i czasopism na miejscu, opracowywanie księgozbioru, inkasowanie opłat oraz sporządzanie sprawozdawczości i prowadzenie wszelkiej korespondencji. Biblioteka, podlegająca Wydziałowi Oświaty i Kultury, finansowana była przez miasto. Zarząd Miejski dysponował jednak bardzo skromnymi funduszami na cele kulturalno-oświatowe. Wpływy z opłat czytelniczych były też niewielkie. Skromne fundusze na zakup książek sprawiały więc, że czytelnicy często nie mogli znaleźć w bibliotece wielu nowości wydawniczych. W piśmie do Magistratu m. Częstochowy z 7 grudnia 1932 r. W. Wolańska pisała o tym: „Niniejszym donoszę, że obecnie z 293 czytelników wypożycza książki zaledwie 220, reszta zrobiła przerwę w czytaniu nie wycofując kaucji w oczekiwaniu wpływu nowych książek. Przypuszczam, że kaucje będą wycofane, jeżeli wkrótce nie będą nabyte książki”.

W latach 1925-1938 księgozbiór biblioteki wzrósł z 3679 (3191 książek naukowych i 488 beletrystycznych) do 9628 tomów (5784 książek naukowych i 3844 beletrystycznych), ale nadal niekorzystnie przedstawiał się procentowy stosunek dzieł naukowych do beletrystycznych. Wprawdzie z ok. 13% w 1925 r. beletrystyka wzrosła w księgozbiórze do ok. 40% w 1938 r., ale nadal przeważały książki naukowe, mimo że w Częstochowie – mieście nie posiadającym wtedy żadnej wyższej uczelni ani rozwiniętego życia naukowego – nie znajdowało się na nie wielu odbiorców.

Stąd też, mimo, że w latach 1925-1938 liczba czytelników w Bibliotece Miejskiej im. dr. W. Biegańskiego wzrosła blisko dziewięciokrotnie (z 70 do 625), a liczba wypożyczeń przeszła szesnastokrotnie (z ok. 2000 do ponad 33000, w tym książek naukowych z 700 do 4680, a beletrystycznych z 1300 do 28485 tomów), były to wyniki bardzo skromne jak na liczącą wtedy ponad sto tysięcy mieszkańców Częstochowę. Nie oznacza to jednak, że częstochowianie tak mało czytali. Istniało przecież wtedy w Częstochowie kilka dostępnych dla wszystkich bibliotek prowadzonych przez towarzystwa lub osoby prywatne. Uzyskiwały one często lepsze wyniki niż placówka miejska m.in. dzięki temu, że posiadały głównie książki beletrystyczne.

W protokole rewizji działalności finansowej i gospodarczej m. Częstochowy z 1938 r. czytamy m.in.: „W dążeniu do upowszechnienia czytelnictwa, co powinno być jednym z najważniejszych celów biblioteki miejskiej, należy drogą zwiększania księgozbioru i następnie wydzielania zeń po-

trzebnej ilości książek, tworzyć biblioteki rejonowe wymienne na przedmieściach (...) i w ten sposób udostępni się korzystanie z biblioteki miejskiej szerszemu ogółowi ludności, głównie robotnikom, którzy obecnie prawie zupełnie nie korzystają ze zbiorów biblioteki miejskiej”.

Ale przyszedł rok 1939 i wybuch drugiej wojny światowej. Okupanci zamknęli i opieczętowali bibliotekę, a książki niszczyli i przekazywali na przemiał. Sugestie z przytoczonego wyżej protokołu mogły się spełniać dopiero po kilku latach, kiedy po wypędzeniu okupanta hitlerowskiego nastąpiło ożywienie w życiu kulturalnym i oświatowym w Częstochowie. Dotyczyło to również Biblioteki Miejskiej im. dr. W. Biegańskiego. Władze miejskie przekazały dla potrzeb tej placówki lokal posklepowy w budynku przy Alei NMP 22. W miejscowej prasie ukazywały się apele o zwrot książek wypożyczonych z biblioteki jeszcze przed wojną (podobno ok. 2 tys. tomów). W pustych pomieszczeniach we wspomnianym budynku zaczęto gromadzić książki wyciągane z różnych strychów i piwnic, gdzie przetrwały okupację. Część księgozbioru przeznaczanego przez Niemców na przemiał uratował Franciszek Przymuszała – kierownik składnicy makulatury przy ul. Warszawskiej 70.

W stosunkowo krótkim czasie uporządkowano księgozbiór i wstępnie skatalogowano. Już 15 marca 1945 r. otwarta została wypożyczalnia książek, a w początkach września tegoż roku – czytelnia. Duża w tym zasługa pierwszych kierowników tej placówki: Lucjana Andre (1893-1958), Stefanii Podhorskiej-Okołów (1884-1962) oraz długoletniej pracownicy biblioteki – Wiktorii Wolańskiej. Za kierownictwa S. Podhorskiej-Okołów otwarta została pierwsza filia biblioteczna w dzielnicy Ostatni Grosz. w 1950 r. nowym kierownikiem biblioteki został Piotr Wasilewski (1913-1981). Dzięki jego staraniom otwarte zostały nowe filie biblioteczne, a w budynku przy Alei NMP 22 uzyskano dodatkowe pomieszczenia, które wykorzystano na introligatornię i bezpłatną szatnię dla osób korzystających z czytelnia.

W 1953 r. dyrektorem biblioteki został Antoni Kłyk (1908-1991), a jego zastępcą Anna Zakrzewska (1912-2005). Ich prawie dwudziestoletni okres dyrekcji zapisał się złotymi zgłoskami w rozwoju tej placówki kulturalnej. Dyrektor A. Kłyk biorący czynny udział w pracach Miejskiej Rady Narodowej (przez trzy lata był zastępcą przewodniczącego) czynił wszystko, by pozyskać od władz miejskich fundusze na zakup nowych książek, na zakładanie nowych filii, na remont pomieszczeń biblioteki głównej, na nowe etaty. Natomiast mgr A. Zakrzewska - nauczycielka z zawodu – koncentrowała się głównie na czysto fachowych sprawach w bibliotece: prawidłowym zakupie książek, ich właściwym opracowaniu, na katalogach i kartotekach oraz służbie informacyjno-bibliograficznej, a także na systematycznym podnoszeniu kwalifikacji bibliotekarskich pracowników biblioteki.

W 1957 r. Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. W. Biegańskiego obchodziła podwójny jubileusz: setną rocznicę urodzin dr. W. Biegańskiego oraz 40-lecie swej działalności. Uroczystości z tym związane odbyły się w sali Teatru im. A. Mickiewicza. Już jednak w tym czasie, kiedy powstały nowe filie w odległych dzielnicach miasta, powiększały się zbiory i rosła liczba czytelników, zaczęły się kłopoty lokalowe w siedzibie biblioteki głównej. Stropy starego budynku przy Alei NMP 22 pod ciężarem zbiorów groziły zawaleniem. Mimo starań dyr. A. Kłyka, a nawet decyzji Miejskiej Komisji Planowania



Fot. Zbigniew Burda

Gospodarczego o włączeniu do planów budowy na lata 1960-1965 również nowego gmachu biblioteki, do rozpoczęcia tej inwestycji nie doszło. Stąd też w 1966 r. dyrekcja biblioteki zdecydowała się przeprowadzić kapitalny remont budynku biblioteki głównej, a jej poszczególne działy przenieść do pomieszczeń zastępczych. M.in. czytelnię główną przeniesiono do lokalu filii przy Alei Pokoju, wypożyczalnię do filii przy ul. Kościuszki, a wszystkie działy prac wewnętrznych do oficyn przy budynku głównym.

Mimo tych kłopotów biblioteka notowała systematyczny rozwój. W 1969 r. istniało już 19 filii bibliotecznych, a księgozbiór, posiadający w zasadzie charakter uniwersalny ze szczególnym uwzględnieniem nauk humanistycznych, wzrósł z ok. 11 tysięcy w końcu 1945 r. do ponad 210 tysięcy tomów w końcu 1969 r. W analogicznym okresie liczba czytelników zwiększyła się z 415 do ponad 33 tysięcy, a liczba wypożyczonych książek w skali roku z ok. 20 tysięcy do ponad 700 tysięcy tomów. Ten rozwój w dużej mierze zawdzięczać trzeba A. Zakrzewskiej, która w 1972 r. przeszła na emeryturę.

Tymczasem remont budynku biblioteki głównej, trwający kilka lat, dobiegał końca. Dzięki staraniom dyr. A. Kłyka stary budynek biblioteki głównej został właściwie zburzony do fundamentów. Postawiono nowe mury, nadbudowano drugie piętro, przebudowano oficyny. Pomieszczenia na parterze przeznaczono na wypożyczalnię główną i szatnię dla czytelników. Pierwsze piętro zajęte zostało przez czytelnię naukową obliczoną na 52 miejsca oraz informatorium z katalogami. W pomieszczeniach na drugim piętrze usytuowano czytelnię czasopism (36 miejsc), salę wystawową oraz salę odczytową mogącą pomieścić sto osób. Na magazyny, działy prac wewnętrznych oraz administrację i dyrekcję przeznaczono pomieszczenia w oficynach.

16 stycznia 1974 r. odbyło się uroczyste oddanie do użytku nowego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. dr. W. Biegańskiego przy Alei NMP 22. Wzięli w nim udział przedstawiciele władz miejskich, licznie przybyli czytelnicy, pracownicy biblioteki z dyrektorem A. Kłykiem na czele. I ja tam byłem...

*Waldemar Tyras*

## SŁOWA W CIEMNOŚCI

Aleksander Wiorny

Gdyby nie rura, nigdy nie powiedziałbym Agnieszce, a precyzyjniej - nie dałbym jej do zrozumienia, że jestem w niej wściekle zakochany.

Zakochałem się tuż po wakacjach, w szóstej klasie. Do tej chwili nie istniała. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej zwrócił uwagę na jej kruczoczarne włosy, czarne brwi i brązowe oczy. Teraz jednak widziałem wszystko wyraźnie. W klasie siadałem zawsze za nią, w sąsiednim rzędzie ławek. Chciałem spokojnie obserwować nie zwracając na siebie uwagi.

Gdy patrzyła na siedzącą obok w ławce koleżankę, byłem jej sąsiadce bezgranicznie wdzięczny. W myślach obdarowywałem dziewczynę bukietem róż, bo dzięki niej widziałem profil Agnieszki. Kiedy wywoływał ją do tablicy nauczyciel, przygotowywałem się do następnej lekcji tego przedmiotu szczególnie starannie, żeby w odpowiednim miejscu zabłysnąć wiedzą i oprawić ten błysk dyskretnym pochlebstwem, z którego niezbitcie wynikało, że pokochałem chemię czy historię tylko ze względu na walory pedagoga.

Musiała wiedzieć, co się ze mną dzieje, bo nawet tak młode dziewczyny są doskonale świadome szaleństwa, jakie wzbudzają w męskich ciałach i umysłach, nawet, jeżeli zagnieździło się ono w nieletnim mężczyźnie. Na początku zerkała na mnie nieco podejrzliwie. Nie wiedziała, jaką formę przybierze moje zainteresowanie. Mogło się wszak objawić w postaci przemocy, w wyzwiskach i poszturchiwaniu na szkolnym korytarzu. Budząca się do życia męskość z braku innych środków wyrazu manifestowała się czasami w ten właśnie sposób. Potem zorientowała się, że moja nieśmiałość znacznie przewyższa intensywnością jej ostrożność i zaczęła się szerzej uśmiechać i szukać mojego wzroku. Uciekałem jej, odwracałem się, nie potrafiłem się otwarcie przyznać, jak bardzo jestem zakochany.

W tym samym czasie rozpocząłem piesze wędrówki po mieście. Wracałem ze szkoły, rzucałem torbę z książkami, szybko jadłem obiad i ruszałem w drogę. Trasę tych peregrynacji wy-

bierałem instynktownie, przypadkowo, szedłem tam, gdzie poniosły mnie nogi, bo cel podróży był nieistotny. Liczył się energia, której mogłem się pozbyć maszerując środkiem chodnika i nie zważając na innych, przekraczając w niedozwolonych miejscach ulice, przedzierając się przez krzaki w parkach. Budziło się moje libido i pędziłem bezrozumnie przed siebie.

Zapoczątkowałem zarazem modę, bo znajomi rówieśnicy chętnie się do mnie przyłączali, albo samodzielnie wytyczali marszrutę. Miasto przejęli w tamtych czasach we władanie spacerujący chłopcy, byliśmy wszędzie, widzieliśmy wszystko. Spotkaliśmy się czasami w Alejach i biorąc za punkt odniesienia Jasną Górę, dyskutowaliśmy o trasach swoich wędrówek, a w tle tych opowieści zawsze była przechwałka, chęć zaimponowania albo długością przebytej drogi, albo stopniem jej komplikacji.

W końcu spadł śnieg, chwycił mróz, powietrze stężało od zimna (dziś nie ma już takich zim, dzisiaj pory roku są tak bardzo do siebie podobne). Rzadziej urządzaliśmy wypad, bo szybciej zapadał zmrok, ale nie poddaliśmy się do końca i od czasu do czasu wypuszczaliśmy się jeszcze na wędrówki ulicami miasta, penetrowaliśmy jego zakamarki.

Kilka dni przed Wigilią ruszyliśmy wzdłuż przebiegającej przez środek Częstochowy trasy DK – 1. Czuliśmy już zbliżające się nieuchronnie święta Bożego Narodzenia, które oznaczały dla nas także przerwę w nauce. A może przede wszystkim czekaliśmy na krótkie wakacje, a nie na rocznicę narodzin Boga? Chyba już wtedy byliśmy pozbawieni łaski i umiejętności dostrzegania spraw przekraczających potoczne, codzienne doświadczenie.

Obok nasypu, kilkanaście minut marszu w stronę Katowic od miejsca, w którym DK – 1 krzyżuje się z ulicą Mirowską, znaleźliśmy stos kilkunastometrowej długości żeliwnych rur, z których każda miała średnicę mniej więcej półtora metra. Porzucili je tam wodociągowcy lub ciepłownicy. Zatrzymaliśmy się przy tym niezwyklej znajomości. Po chwili zza rur wyszła Agnieszka, której towarzyszyła koleżanka.

Nie czułem zimna, nie słyszałem hałasu pędzących wściekle do Warszawy i do Katowic samochodów. Nie widziałem, co robić.

Mój towarzysz podróży zareagował we właściwy sobie sposób: szybko ubił śnieżkę i cisnął w kierunku dziewczyn. Towarzyszka Agniesz-

ki uciekła z piskiem, więc za nią popędził. Stojąc nieruchomo jak sople lodu patrzyliśmy sobie z Agnieszką w oczy. Ona przełamała się pierwsza i w przeblasku geniuszu stanęła przy wlocie leżącej najbliżej rury. Zrozumiawszy po dłuższej chwili jej intencje, stanąłem przy drugim końcu. W ciemnym tunelu widziałem tylko zarys jej sylwetki. Westchnąłem ciężko i dźwięk ten dzięki doskonałej akustyce pomknął do dziewczyny, która w odpowiedzi roześmiała się cicho, a ja usłyszałem dokładnie każdy ton jej śmiechu.

Wtedy tama nieśmiałości runęła i wylała się ze mnie rzeka bezładnych wyznań. Opowiedziałem Agnieszce o czynionych ukradkach obserwacjach, wyliczyłem dość dokładnie, ile razy – od września - i w jakich okolicznościach spojrzała na mnie, próbowałem jej też wytłumaczyć, jak bardzo się cieszę, że wreszcie rozmawiamy, aż wreszcie zamilkłem, bo uświadomiłem sobie, jak łatwo moje wynurzenia mogły mnie ośmieszyć.

I choć nie powiedziałem otwarcie, że jestem zakochany, myślę, że Agnieszka doskonale o tym wiedziała. Zaskoczyła mnie pragmatyzmem: po krótkiej chwili milczącego namysłu zaproponowała spotkanie następnego dnia u siebie w domu. Mieliśmy się razem przygotować do sprawdzianu z matematyki. Wtedy pierwszy raz przekonałem się, że kobiety lepiej praktykują miłość, przekładają ją na język codzienności z naturalną wprawą, której my się musimy mozolnie uczyć.

Zgodziłem się szybko, bo usłyszeliśmy krzyki i piski naszych towarzyszy, którzy po krótkiej gonitwie postanowili, że czas już wracać. Odsunęliśmy się od rury, potem, po krótkim pożegnaniu, każda para poszła w swoją stronę. Następnego dnia, po bezsennej nocy, podczas której zamieć biła wściekle w okna pokoju, a we mnie przetaczały się jeszcze zacieklejsze huragany uczuć, stchórzyłem i nie odwiedziłem Agnieszki. Nie wybaczyła mi tego i nigdy się do mnie już nie odezwała, nie spojrzała w moją stronę i nie uśmiechnęła się.

Później pokonałem nieśmiałość i nauczyłem się odpowiednio postępować z kobietami, ale nigdy nie byłem tak szczery i otwarty, jak wtedy, gdy przemawiałem do ciemnej postaci na końcu tunelu, na początku wszystkiego.



## „Z CZĘSTOCHOWĄ W TLE”



Laureaci konkursu na opowiadanie ph. „Z Częstochową w tle”. Od lewej: Michał Flak (I Nagroda), Laura Dusik (III Nagroda), Kamil Błoch (Wyróżnienie), Maciej Gaik (Wyróżnienie), Jakub Kasperkiewicz (II Nagroda)

Fot. Zbigniew Burda

**Michał Flak**

### TRANSFORMACJA

**czyli  
Z ludzi ptaków – wyrosły sępy**

*Świat jest jeno szkołą szukania;  
nie o to chodzi, kto dopadnie,  
ale kto przebieży piękniejszą drogę*

*Michel de Montaigne*

Miłość matki ziemi dała nam życie. Dostaliśmy szansę.

Sytuacja jest ciężka, ale generalnie istnieje zasada „wziąć swoje i na resztę się wypiąć”, to wszystko ułatwia. Bo po co robić coś ponad normy? Jaki jest sens?

Weźmy swoje i wypnijmy się na resztę, potem idźmy. Uciekniemy lub zostaniemy wśród tych,

na których się wypieliśmy - daleko na pewno nie uciekniemy.

Piękne ptaki, z ambicjami, wypieszczeni w gniazdach. Latać! Tego uczymy się od skorupki. Latać i być wysoko, widzieć wszystko z góry i osiadać tam, gdzie nas przyciąga. Widzieć ogół, a nie tylko jednostki. Wypadamy z gniazda, próbujemy latać. Spadamy, obijamy się, mamy trwałe rany, dzięki którym jest nam potem łatwiej. Im więcej ran i obrażeń, tym bardziej jesteśmy uziemieni. Próbujemy się wzbić. Wysoko nie wzlecimy, bo za skrzydła trzyma nas doświadczenie, brak wiary i często głupota.

Więc tak, staramy się czasem, trzepoczemy skrzydłami i w górę, w górę, no w górę, mocniej jeszcze trochę, no wyżej, wyżej, cholera jasna.

Z delikatnych ptaków, które potrafiły pięknie śpiewać melodię życia i rytm marzeń, wykształcając się odrapane ptaszyska, poobijane, brzydkie, bez piór, które traciliśmy w walce o kolejny

poziom lub gdy spadaliśmy z krawędzi. Nie śpiewamy, bo nie pamiętamy melodii, krzczemy tylko rozpaczliwie ale nikogo ta melodia nie zachwyca, ponieważ każdy dokładnie zna jej nuty.

Mówią nam, że kto z kim przystaje taki się staje, więc trzeba przystawać ze wszystkimi. Idziemy sobie po tej naszej drabinie spokojnie krok po kroku, to znaczy chcielibyśmy tak iść, jednak w rzeczywistości zapieprzamy, by jak najszybciej znaleźć się na górze. I o to nam chodzi? Tak?

Po latach wyrastają nam ostre dzioby, wydłużają nam się szyje, wyrastają szpony...

Wychowałem się na Dolnym Śląsku. Nie wielu ludzi w moim wieku tu mieszkało. Przyjaciela miałem jednego, był dwa lata starszy, bawił się w to samo co ja, więc trzymaliśmy się razem. Reszta ludzi spędzających dzień na osiedlu, to bezrobotni sąsiedzi, którzy całymi dniami przesiadywali na dworze i opowiadali sobie, kto z kim, dłaczego tak.

Często podsłuchiwaliliśmy takie rozmowy. Nasi znajomi byli starsi od nas. Pan Piotr, który pierwszy otworzył wypożyczalnię kaset wideo, był dla nas jak kolega, prawie jak rówieśnik. Siedzieliśmy całymi dniami u niego i oglądaliśmy okładki opakowań od kaset. Mieliśmy również koleżanki, ale też były starsze od nas, ekspedientki ze sklepu. Jak nie było pana Piotra tylko inny, taki co nas wpuszczać nie chciał, to siedzieliśmy w „Delikatesach”. Słuchaliśmy, co gadały między sobą kobiety pracujące w sklepie. Często wymyślaliśmy, co sobie kupimy, jak ojciec dostanie wypłatę i odpali nam po „dyszcze”. Nie było u nas przedszkola, chodziliśmy czasem na zajęcia do takiej grubej zakonnicy, ale to tylko wtedy, gdy nas rodzice zaprowadzili, czyli jak mieli czas. Kazali nam się uczyć w domu. Pani Kasia z delikatesów przerabiała z nami czytanek, a potem dostawaliśmy plusy w kółeczku od zakonnicy. Nasi ojcowie pracowali na „Ziemowicie”, oczywiście pod ziemią, bo jak któryś ojciec pracował w budynku, to nie mieszkał u nas w osiedlu, tylko gdzieś w domu na obrzeżach miasta. Widziałem kiedyś takiego, był inny od nas, całkowicie. Nie umiałem z nim rozmawiać. Wtedy chciałem go zlać. Dzisiaj też pewnie bym chciał.

Z ojcem widywałem się wtedy, gdy nie był na szychcie, matula pracowała w hotelu w recepcji, ale niedługo, bo hotel zlikwidowali. I tak to wyglądało: ja biegałem ciągle po dworze a siostra z mamą i ciotką siedziały w domu. Słyszałem tylko, jak rodzice mówili, że nie tak wyglądać miała przyszłość. Mówili, że jest źle. Mnie tam źle nie było.

Jak ojciec kupił „malucha”, to myślałem

o tym, co to teraz będą za czasy. Nowiutki, prosto z „Fiata”, sąsiad przyprowadził. Byłem pewien, że taki dobrobyt poprawi nastrój w naszej rodzinie. Myliłem się. Ciągle było źle. Maluch to za mało? - myślałem. Widocznie tak, bo po pół roku od kupna samochodu wyprowadziliśmy się na krótko do dziadków, a potem do Częstochowy. Strasznie szkoda mi było opuszczać „Ziemowitowe” osiedle. Wyrastałem jak młody ptak, tylko, że zawsze byłem gdzieś z dala od gniazda.

Minął pierwszy rok i prawie zapomniałem o Łędzinach. Kiedyś pojechaliśmy tam przed świętami. Prawie wszyscy zostali tam, gdzie byli wcześniej. Mój stary znajomy poszedł do szkoły, zresztą tak jak ja. Całkiem inaczej nam się gadało. Mówił, że do sklepu już nie chodzi, bo postawili za ladą jakąś starą, co go nawet nie wpuszcza i mówi, że kradnie. Podobno ciągle były o to awantury. Dla świętego spokoju ojciec zabronił mu tam chodzić. Pan Piotr już nie pracował w swojej przyczepie. Mówili, że do Australii wyjechał, bo tu chleba nie ma.

Czułem się jakbym był coś winny Pawłowi. Nie było mnie tam i żałowałem czasu, który upływał mi w innym miejscu. Niczego sam nie mogłem zmienić.

To była jedna z ostatnich wizyt. Wróciłem do nowego miasta, początkowo czułem się bardzo obcy, nikogo nie znałem. Najważniejsze umiejętności, jakie przywiozłem z Łędzin, to czytanie, pisanie, gwizdanie, malowanie mazakami po ścianach, no i jeszcze z Pawłem kiedyś się palić nauczyliśmy. Miałem nową szkołę, nowych znajomych; tylko, że oni mieszkali blisko szkoły a ja musiałem iść z kilometr, w sumie to i tak niedaleko.

Leciało strasznie szybko: podstawówka, gimnazjum i zaraz po egzaminie liceum. Do tego czasu miałem już dobrych znajomych u siebie na osiedlu. Chociaż dotarcie do nich, z powodu mojej komunikatywności, trochę trwało. Od razu widziałem, że tutaj życie jest inne. Specjalnie nie lgnąłem do tej nowej rzeczywistości.

No właśnie – komunikatywność. To też przywiozłem ze Śląska. Poprosiłem kiedyś rodziców, abyśmy odwiedzili ciotkę. Chciałem się bardzo zobaczyć z Pawłem. Chciałem wiedzieć, co u niego słychać, gdzie poszedł do szkoły i co nowego działo się na starych śmieciach. Chociaż nie interesowało mnie to tak, jak kiedyś. Dostałem się do szkoły, do której dostać się nie chciałem, ale chodziła tam moja siostra i myślałem, że to coś pomoże. Pojechaliśmy na początku wakacji. Wszystko wyglądało prawie tak samo, poza tym, że „Ziemowit” zamknęli. A z delikatesów zrobili „Żabkę” i nie było jakiegokolwiek gadki, żeby tam posiedzieć. Blok jak blok, brzydki i brudny. Nie mogłem się doczekać, aż pójde po Pawła tak jak kilka lat temu. Ciekaw byłem, czy mnie pozna.

Zapukałem do drzwi i otworzyła jego babcia. Nie poznała mnie i powiedziała tylko, że go nie ma, a gdy zapytałem, kiedy będzie, odparła, że nie będzie. Poszedłem do ciotki dowiedzieć się, o co chodzi. Rodzice już tam siedzieli. Ciocia Iwona powiedziała mi o tym, jak Paweł trafił do poprawczaka, bo okradli jakiś sklepi i jeszcze coś z narkotykami, ale mówiła, że nie wie dokładnie i nie chce przekreślać.

Nie wiedziałem, co myśleć, kompletnie. Zastanawiałem się, czy gdybym został, to wszystko wyglądało by tak samo, czy on zrobił by to, za co teraz siedzi w poprawczaku, a może zrobilibyśmy to razem? Nie wiedziałem nic. Pustka. Tak bardzo potrzebowałem rozmowy z nim. Potem od ciotki dowiedziałem się, że Paweł siedzi w więzieniu, bo w poprawczaku przebywał do osiemnastki. Dowiedziałem się o tym rok po ostatniej wizycie w moim rodzinnym mieście.

Zapomniałem już prawie o wszystkim, to znaczy chciałem zapomnieć i żyć nowym częstochowskim życiem.

Częstochowskie życie - powiedziała kiedyś moja mama - zobaczymy jak wygląda to częstochowskie życie. Wyglądało całkiem niezłe, a nawet mi się bardzo spodobało. Byłem uczniem liceum i po pewnym czasie zaczęło mnie coś nękać. Sam nie wiedziałem, czego mi brakuje.

Było nas czterech. Niczym stowarzyszenie umarłych poetów. Ja, Nikodem, Maciek, Jacek. Oglądaliśmy filmy, czytaliśmy poezję, słuchaliśmy muzyki, ambitnej muzyki, której prócz nas w naszej szkole nikt nie słuchał. Kiedyś wybraliśmy się do „Paradoksu” na koncert jazzowy i wyglądaliśmy jakbyśmy zabłądzili. Uwielbiam jazz, zresztą Częstochowa jest dla mnie miastem jazzowym. Całe to miasto to płynący jazz, delikatny wokal, który wzmacnia saksofon, a do tego ciągle melodia życia, ma swój rytm, swoją perkusję. Siedzieliśmy zazwyczaj u mnie, bo mieszkalem sam, wszystko się tak pozmieniało. Wyprowadziłem się od ojca, który mieszka trzy ulice dalej. Teraz moim miejscem egzystencji stała się Aleja Pokoju, magiczne miejsce, zaczarowani ludzie, wymieszani ludzie. Naprzeciwko mnie mieszka prawnik a pode mną były milicjant, zresztą alkoholik.

Siedzieliśmy, słuchaliśmy muzyki i dyskutowaliśmy o tym, co jest dla nas ważne, mieliśmy takie same idee. Ważne dla nas było, aby być najlepszym w tym, co robimy. Rzeczą podstawową była szkoła, trzeba było się dobrze uczyć, zdać dobrze maturę i iść na dobre studia. Dwa lata, tyle przetrwała nasz organizacja, byliśmy zorganizowani dla siebie. Nacechowani tymi samymi wartościami, dawaliśmy sobie to, czego w domu nie dostawaliśmy. Przetrwała dwa lata,

bo Nikodem, który był starszy o rok, wyjechał na studia do Łodzi. Zamieszkał tam na stałe. Jacek kiedyś palił trawkę. Złapali go w szatni, jak robił skręta. Zadzwonili po policję a ta od razu zamknęła go w areszcie śledczym. Za posiadanie narkotyków dostał dwa lata w zawieszeniu. Rodzice wysłali go do prywatnej szkoły w Krakowie, nigdy nie przyjeżdżał. Zostałem ja z Maćkiem. On zaś znalazł sobie dziewczynę, skończył szkołę i zaczął pracować w supermarkecie. Ja nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Byłem strasznie zdenerwowany tym, co się stało. Szczególnie na Maćka, mieliśmy całkiem inne plany. Inaczej miało to wszystko wyglądać. Zadowolony byłem natomiast z Nikodema, dzwonił mi często i wiedziałem, jak dobrze sobie radzi. Przyjeżdżał, gdy nie miał sesji. Od brata Jacka dowiedzieliśmy się o jego problemach w Krakowie, chcieliśmy tam pojechać, ale on nie chciał się z nami spotkać. Wpadł w jakieś dziwne towarzystwo.

Kiedyś obiecaliśmy sobie, że wszyscy wrócimy do Częstochowy i dalej będziemy się przyjaźnić. Maciek zostanie na pewno, Nikodem niby mówił coś o powrocie. Jacek? Nie było takiej możliwości. Jeszcze ja, kiedyś wiedziałem dokładnie, co chcę zrobić, ci ludzi dawali mi siłę. Teraz siłę dawało mi miasto, nie miałem dziewczyny, bo byłem zakochany w jesiennym obrazie Alei Pokoju i ta miłość mi wystarczała. Czarne asfaltowe chodniki połączane liśćmi. Brukowe ścieżki dla rowerzystów a pośrodku usypiające drzewa, których blask rozświetlały nowe srebrne latarnie. Za to pokochałem Częstochowę, za jej urok, za tę melodię życia.

Został mi ostatni rok szkoły. Potem plan był prosty - wyjechać do Anglii - do siostry, zarobić na studia i rozpocząć kształcenie jako przyszły dziennikarz.

Przyszła zima. Wiele się pozmieniało, Maciek wyjechał do Stanów razem z dziewczyną, o Jacku nic mi nadal nie wiadomo. Nikodem radził sobie dobrze, lecz przestał się całkowicie odzywać, pracował już na studiach i bardzo dobrze zarabiał, tak mówiła jego siostra. Chciałem kiedyś wszystkich namówić na spotkanie.

Pewnej zimowej niedzieli odebrałem telefon od ciotki Iwony z Łędzin, która poinformowała mnie o śmierci Pawła. Popełnił samobójstwo w więzieniu. Nie wytrzymał tego braku wolności. Był ptakiem z ogromnymi skrzydłami, którego zamknięto w klatce. Liczyłem, że się jeszcze spotkamy, gdy wyjdzie na wolność. Niestety, już nigdy go nie zobaczę, nigdy nie porozmawiam, nigdy nie wspo-

mnimy o tym, co kiedyś razem przeżyliśmy, co widzieliśmy, nie wspomnimy tych okładek, które oglądaliśmy u pana Pawła. Poczulem się strasznie samotny. Bardziej samotnym się chyba nie da być. Przyjaciele, nazwałbym ich nawet przyszywanymi braćmi, uciekli w popłochu, każdy wziął swoje i wypiął się na resztę, nie zostawiając po sobie nic, prócz wątlých wspomnień.

Boimy się zostać i to strasznie. Boimy się samotności tutaj, a przecież ona jest przede wszystkim tam, boimy się, że ludzie nie będą nas szanować, gdy nie osiągniemy dobrego pułapu, gdy nie postawimy sobie wysoko swojego szczebla, że bliscy zadrwią z nas, wytkną palcem.

To, co osiągnąłem, jest niewidoczne dla tych tam, z drabiny.

Idźmy tak, abyśmy na końcu drogi mogli unieść skrzydła i wzlecieć do nieba.

**Michał Flak** – rocznik 1988, uczeń klasy maturalnej w Zespole Szkół im. Bolesława Prusa w Częstochowie. Laureat I Nagrody w konkursie ph. „Z Częstochową w tle”. Prezentowany tekst jest debiutem literackim.



*Autorzy innych obiecujących tekstów, nadesłanych na konkurs*

Fot. Zbigniew Burda

**EWA DYMARCZYK**  
(debiut)

## **Prawdziwa miłość**

nigdy nie rozmawiamy  
przychodzisz – kochamy się – wychodzisz  
mleczą meble  
nikt nawet nie westchnie

gdy odezwał się czajnik w kuchni  
amputowałeś mu gwizdek

\* \* \*

spójrz  
leży odarty ze skóry  
odziany w korpus poety  
na nowo uczy się otwierać oczy  
mówić  
słuchać  
patrzeć  
coś  
czego nigdy nie próbował –  
jak trzymać pióro

\* \* \*

wyszedł z tego domu  
tego dnia  
tej godziny  
nie powrócił nigdy  
bo niby po co?  
po kurz pozostały na półce bez książek?  
po za małe ubrania?  
po przetarte buty?  
wyszedł z tego pokoju  
tego łóżka  
tej piżamy

wyrósł

\* \* \*

to wszystko to jedynie  
mroczne widzenie  
nadymające się obrazy  
falujące odgłosy  
nieme wyznania  
wciąż ciemność dominuje  
w strefie intymnych myśli  
przecierających się na szwach

## **Odmłodzenie**

Profesor znów ufarbował sobie włosy  
specjalnie na dzisiejszą piękną uroczystość  
włosy profesorskie już zapomniały  
jaki był ich kolor  
wciąż przybierają nowy strój –  
niekończący się bal przebierańców

i tylko wąsy Profesora mówią:  
„jego włosy zaczynają siwieć”



## KONRAD SIEWIERA

### Rocznik

Poróżnieni i nie pasujący do siebie  
Pomimo przybliżonych dat urodzeń  
Nie jesteśmy, nigdy nie byliśmy  
Lawą gorącą, plamą krwi  
Ozdobnym znaczkiem w klaserze  
Listem miłosnym

Raczej się nie staraliśmy  
A może nie było takiej potrzeby

Wychodząc z jednego łona  
Zwanego pospolicie ojczyzną  
Dawno już odcięta pepowina  
Zastępowana substytutem  
Made in China

O różnym ilorazie inteligencji  
Bez punktów za pochodzenie –  
Dzisiaj w ogóle one się nie liczą  
Z ograniczoną wiedzą na temat filozofii  
Nazywani dumnie rocznikiem stanu wojennego

### Fin de siècle

Zawsze, kiedy ją widzę przychodzi mi na myśl widok  
Obiadu niedzielnego  
Wśród którego ojciec przypomina jej by zawsze  
Chodziła z gracją przed innymi ludźmi  
Tak, jest moją miłością, spojrzenie – niewystarczające  
Kiedy stoi niewinnie na ulicy, mam chęć pomóc jej  
W codziennych obowiązkach  
Przenieść zakupy na odpowiednie piętro, by w wejściu  
Powiedzieć „to dla mnie przyjemność”  
Gdy wyjmuje chusteczkę do nosa przychodzi mi na myśl  
Obraz XIX wiecznej guwernantki

Ale przecież jest tylko zwykłą dziwką  
Stojącą przed dworcem  
W oczekiwaniu na klienta

MAŁGORZATA KACZMAREK

## Piotr

Wystawiłem Ciebie na próbę,  
A Ty pozwoliłeś mi  
przyjść po wodzie

Zważyłem

Przebacz jeszcze  
trzy uderzenia,  
które bolą najbardziej

Potrójne gwoździe mojego życia

## Śnieg

Białe jak śnieżynki  
płatki Twojej duszy  
opadają  
delikatnie na moje serce

Przytulasz mnie  
i topnieją pod moimi rękami

## Szpulka

Między palcami  
umyka mi nitka czasu  
Zawiązuję supełki,  
by zapomnieć,  
że wciąż pamiętam  
o szpulce

## ALEJE MŁODOPOETYCKIE

Prezentujemy teksty trojga młodych autorów.

Nie razi nas młodzieńcza jeszcze naiwność – z tego się wyrasta, wychodzi, jak ... z pokoju/ ...łóżka/ ...piżamy (Ewa Dymarczyk). Gorzej, gdy poeta nie radzi sobie z materiałem wiersza – jego konstruowaniem, co obserwujemy w niektórych utworach. Przymykamy oko, wierząc, że nasze uwagi będą mobilizujące.

Cieszy natomiast różnorodność tematyczna: od wątków miłosnych, religijnych, do przemijania i bólu istnienia.

Zauważalna jest wrażliwość estetyczna i umiejętność obserwacji autorów. Choć próby ontologicznych penetracji są nieco nieporadne, zgrabnie przemawiają *profesorskie wąsy* czy *gwizdek czajnika*. Podobać się może odkrywanie siebie – gdy *na nowo uczy się otwierać oczy / mówić / słuchać / patrzeć /.../ jak trzymać pióro*.

Czas pokaże, czy sztuka ta zaprowadzi naszych autorów na parnas.

Zachęcamy do nadsyłania swoich prób poetyckich.

(WW)

## DOROŻKI I SPUTNIKI

Janusz Mielczarek

Dorożki, zaprzężone w niezbyt reprezentacyjne rumaki, którym przyszło ciągnąć rozwrzeszczaną i przedziwnie przystrojoną „bandę”, uzbrojoną w jakoweś napisy, to ... czołówka pierwszej studenckiej „Żakinady” w Częstochowie – w maju 1960 roku.

Impreza rodziła się w wielkich bólach i praktycznie do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy władza wpuści studencką ferajnę do centrum miasta. Wpuściła, ale w następnym roku igrców już nie było. W miarę regularnie – jako „Wiosna studencka” – rozpoczęła się, jeśli dobrze pamiętam, od roku 1964.

Na tej historycznej fotce upakowany jest na dorożkach zespół Studenckiego Teatryku Satyry „Bambino”, prowadząc ten skromny, pierwszy w Częstochowie korowód. W korowodzie uczestniczyli praktycznie tylko studenci Politechniki Częstochowskiej, która liczyła wówczas trzy wydziały: budowy maszyn, metalurgiczny i włókienniczy. Wyższą Szkołę Ekonomiczną już zlikwidowano, a odradzające się Studium Nauczycielskie nie miało jeszcze aspiracji, aby być WSP (Wyższą Szkołą Pedagogiczną).

Fotografia zrobiona jest mniej więcej vis à vis obecnej Auli Politechniki, albo jak kto woli Gargameła, przy Alei Armii Krajowej, mieniącej się wówczas Zawadzkiego (Aleksandra). Widać tory tramwajowe,

ale tramwaj w tamtych latach dojeżdżał tylko do obecnej Alei Jana Pawła II (wówczas Lenina), robił rundkę i wracał na Raków. W pustych miejscach, widocznych po prawej stronie fotografii, dopiero po kilku latach pobudowano obecne tam dzisiaj punktowce.

Jegomość po lewej stronie zdjęcia, zainteresowany awarią postronka czy popręgu w drugiej dorożce, ubrany był w worek, na którym widniał napis: „strój polskiego kosmonauty”. Jegomość ów w takim stroju występował na scenie teatrzyku w programie „Granie na maglu”, pokazywanym w latach 1959-1960. Cały zespół śpiewał tam, na melodię „Lecą świetliki”, balladę o sputnikach, do której treści sporo zastrzeżeń miała cenzura. Dlatego tekst ballady znany był w dwóch wersjach. Oto fragmenty utworu:

*W Związku Radzieckim modne sputniki,  
Ten sam cel też Ameryki,  
Francję cieszy zmiana rządów,  
U nas cieszy brak poglądów.  
Cieszy prasa, cieszy kino,  
Za 12 złotych cieszy wino  
Oraz inne dobrodziejstwa,  
A najwięcej jest złodziejstwa.  
(...)  
Nasze sputniki polecą, polecą,  
Nad ciemną ulicą poświecą, poświecą  
I będziemy dumni bladzi,  
Pewnie głodni, ale radzi.  
Tylko tak dalej, a już chyłkiem  
Zamiast sputnikiem gołym tyłkiem  
Zaświecimy pośród gwiazd,  
Lecz sława nie minie nas!*



## LATAWCE I CIERNIKI

Zbislaw Janikowski

Zabawy mojego dzieciństwa nie mieszczą się we współczesnych wyobrażeniach. Dziś telewizja, komputery i blokowiska określają zachowania i postępowanie, a tylko nieliczni zdobywają się na samodzielność i fantazję.

*Plac podjasnogórski* – wielki ogólnie dostępny plac znany niemal każdemu Polakowi. W latach mojego dzieciństwa był zintegrowany z miastem a tylko w okresie wielkich odpustów i świąt pełnił funkcje sakralne, reprezentacyjne. Wydeptane na skrótym ścieżki, bielejące wapiennymi kamieniami, krzyżowały się obok kilku wysokich sosen rosnących na środku placu - z lotu ptaka i z jasnogórskiej wieży wyglądały jak brytyjska flaga. Przez środek placu przebiegała też swoista linia demarkacyjna oddzielająca sferę wpływów „Barbary” od „Wieluńskiej”. Na zielonej murawie pasły się całe kozie rodziny, od dostojnych mlecznych żywicieli, dźwigających wymiona wielkości małego wiaderka, przez brodatych z fantastycznie powyginanymi rogami władców stada, po małe prześmieszne, wiecznie brykające kozłatka, na łebkach których wykluwały się już małe różki, sprawdzane ciągle na główkach sióstr i braci. Całe to towarzystwo w doskonałym stanie utrzymywało trawniki, nie pozwalając im na bujny, niekontrolowany wzrost. Mankamentem była uboczna produkcja (w zasadzie bardzo użyteczna bo użyźniająca trawniki) - małe czarne kuleczki, kozie bobki. Kawalarze wykorzystywali je bezlitośnie do nabierania maluchów. W owym czasie panowała moda na małe czarne cukierki – „kawki”. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by skojarzyć cukierki z kozimi wyrobami. Ponieważ podstawowym opakowaniem na kupowane słodczyce była papierowa „tytka” zwinięta z kawałka szarego papieru, podróbka smakołyków do złudzenia przypominająca prawdziwe cukierki nie nastroczała trudności. Okrutnicy częstowali tym maluchy, rechocząc ze śmiechu jeżeli udało się któregoś z nich nabrać.

Kozie pastwisko musiało często ustępować miejsca piłkarzom, którzy mimo nierówności terenu gonili za piłką do upadłego. Mecz przerywano dopiero wtedy, gdy panowały już kompletne ciemności lub ze złachanej piłki uchodziły resztki powietrza. Miejscowy specjalista zabierał ją do domu,

cały wieczór a czasami i pół nocy szył i kleił, by następnego dnia, przeważnie już w zupełnie innym składzie, dokończyć przerwana rywalizację.

Zarówno kozy, jak i piłkarze, w pewnym momencie musieli ustąpić placu miłośnikom latawców. Moda na ten napowietrzny obiekt opanowała połowę chłopięcej populacji. Skonstruowanie dobrego latawca wymagało dużej wiedzy i umiejętności. Nie wiem, skąd w owych czasach kompletnego braku wszystkiego, zdobywano cieniutkie drewniane listewki, cienki, kolorowy, bardzo lekki i mocny pergamin, kleje i niemal kilometry cieniutkiego, mocnego szpagatu. Żadnych nylonowych żyłek ówczesny świat jeszcze nie znał. Jedynym stosunkowo łatwo dostępnym materiałem była kolorowa, marszczona bibuła na latawcowy, prawie dwumetrowy ogon.

Budowa drewnianego szkieletu, oklejanie kolorowym papierem, na którym dodatkowo malowano piękne wzory, przytwierdzanie ogona, wreszcie próby stateczności, wyważanie, oblatywanie na podwórku, czasami na dachu kamienicy, były zajęciami nie tylko pracochłonnymi, ale i bardzo precyzyjnymi, którymi niejednokrotnie zajmował się cały zespół.

Wreszcie, przy odpowiedniej pogodzie, miało miejsce „puszczanie” latawca, koniecznie na podjasnogórskim placu. Sprzyjała temu wielka, odkryta przestrzeń i tak ważna dla wszelkiej maści awionautów – róża wiatrów.

Co najmniej trzyosobowy zespół współpracowniczym przysłowiowy szwajcarski zegarek: przodem biegł szef, trzymając szpulę sznurka, następnie najwyższy z uniesionym w górę latawcem, a za nimi „konusy”, podtrzymujące ogon. Wreszcie, po którejś nieudanej próbie, latawiec łapał wiatr i rozpoczynał wędrówkę w przestworza, ograniczoną zasięgiem przytwierdzonego do niego sznurka. Były dni, gdy na niebie unosiło się po kilkanaście latających obiektów, bywały kolizje, splątane sznurki wywoływały oczywiście dzikie awantury, były też ucieczki sprzętu spowodowane zerwanym sznurkiem a czasami złośliwościami, gdy konkurencja podstępnie go przecięła. Towarzyszyły temu niesamowite opowieści o długości lotu takiego uciekiniera i jest oczywiste, że w połowie przypadków (świadkowie zaklinali się, że to prawda, że święta prawda, że sami widzieli, że...) zaczęły one o piorunochron na kominie elektrowni, druga połowa lądowała w ruinach olsztyńskiego zamku, trzecia ... niektórzy mówili, że aż pod Kielcami, a nawet za ruską granicą!

Imponowały kształty unoszących się w powietrzu latawców, od najprostszych czworokątnych, przez okrągłe, sześciokątne a nawet ośmiokątne, aż po

# SENTYMENTY



*Arkadiusz Zając*



# SENTYMENTY

trójwymiarowe bryły z kilkoma różnokolorowymi ogonami.

Nigdy nie byłem właścicielem latawca, mimo że wujek (chyba realizując swoje niegdysiejsze marzenia) budował go kilkakrotnie właśnie dla mnie (teraz rozumiem, że był to tylko pretekst), zawsze aktywnie uczestniczyłem w tym przedsięwzięciu – przyglądając się i co najwyżej tnąc (oczywiście krzywo) kolorowe paski na ogon, miałem też swój udział w startach i lotach, jako ten ostatni – ogonowy.

Nikomu nie przychodziło do głowy kwestionowanie tych wspaniałych zabaw, wszyscy podchodzili do nich ze stoickim spokojem, odnosząc nawet wrażenie, że cieszyły i sprawiały radość nie tylko uczestnikom. Czasami na plac (zawsze przypadkiem) zabłądził biały habit któregoś z braciszków, a ten który tam trafił, czuł i rozumiał bawiących się chłopaków, zagadał, pomógł, doradził, chętnie też odkopnął zabłąkaną piłkę, potrzymał sznurek bujającego w przestworzach latawca, zmieniał się w rozjemcę, mediatora, godził zwaśnionych...

*Staw Szwedego* – niegdyś jedno z popularniejszych miejsc naszego miasta. Prowadził tam sławny „cielętnik” czyli ciąg spacerowy, po którym obnosiły swe wdzięki najpiękniejsze z Zawozia, Grosza i Starego Miasta. Szlak wiódł Krakowską od Starego Rynku, przez przemysłowe „Fabryki”, do tej enklawy zieleni, wodnych rozlewisk, płataniny kolejowych nasypów, torowisk, mostków, grobli i kładek. Rozwój i rozbudowa fabryk w tej dzielnicy, nowy most w ciągu ulicy Krakowskiej, przebudowa linii kolejowych, zmiany komunikacyjne, jak również przeprowadzona przez Niemców w czasie wojny likwidacja staromiejskiej dzielnicy żydowskiej, zmieniły ostatecznie wygląd i charakter tej części miasta. Kto by dziś pokusił się o spacer wąskimi chodnikami w ulicznym zgiełku, w smrodzie spalin, i dokąd? Ja z moimi kolegami „załapałem” się jeszcze na „końcówkę”. Organizowaliśmy prawdziwe wyprawy nad Staw Szwedego w ściśle określonym i głęboko przemyślanym celu. Wyposażeni w słoiki, misternie skonstruowane ze starych pończoch siatki do podwodnych połowów, torby, syci sutym domowym obiadem (a jadało się około pierwszej), wyruszyliśmy w nieznane, na spotkanie z prawdziwą przygodą. Jeszcze tylko upchane po kieszeniach kajzerki, zakupione w sklepiku pana Niemeczka, jeszcze zawinięte w szary papier wspaniałe kwaskowe różnokolorowe lądrynki, jeszcze...

Maszerowaliśmy dzielnie przez więcej niż pół miasta, a nasza grupka, którą (w podstawowym składzie) stanowili oprócz mnie Marek, Stasiak, Jędrus i najmniejszy, krzywonogi ale ruchliwy jak żywe srebro, Mietek, nie licząc jeszcze ze dwóch innych podwórkowych kumpli. Wszędzie napotykaliliśmy na jakieś ciekawostki, a to ułożoną z kamiennego bruku datę budowy ulicy, trochę dalej czyścicieli kanałów, wybierających z ulicznych studzienek nieczystości, wpadaliśmy na pocztę przy Śląskiej, by pokręcić się w obrotowych drzwiach, podziwialiśmy przetaczane kolejowe wagony (wekslowane). Trasa wędrówki wiodła Śląską, Sobieskiego, przez resztki kolejowego przejazdu przedostawialiśmy się na Piotrkowską, by wreszcie płataniną nieznanych i niebezpiecznych ulic - Małą, Stawową a może Moką - dotrzeć do Narutowicza (Krakowskiej) i dalej do celu, nad staw.

Dziwne to było miejsce, plażowo-rekreacyjne, równocześnie kąpielisko z zacisznymi wędkarskimi enklawami, a wszystko na tle pobliskich zabudowań fabrycznych. Miejsce piękności w dwuczęściowych kostiumach kąpielowych, których dolną część stanowiły kuse, zwiewne spódniczki, całość uzupełniona fiszbinami, falbaneczkami; dorodni herosi zaczesani w wybrylatynowane „mandoliny”, prezentujący opalone torsy, muskularne ramiona zdobne tatuażami (a jakież tam były rysunki – skrwawione serca, sztylety oplecione przez węże, piękne dziewczyny, okrętowe kotwice i Bóg wie co jeszcze) i białe płócienne slipy z naszytym maskującym czy też prowokującym, kolorowym najczęściej czerwonym, pionowym pasem. Na rozłożonych kocach siedziały przytulone parki, odchodziły partyjki tysiąca, zechcyka, czy mocno hazardowego oczka. Uzupełnieniem plenerowego widoczku były różnej pojemności monopolowe butelki, paczki popularnych „mocnych”, owinięte w papier pęta kiełbasy, chłodzące się w stawie butelki z lemoniadą i litrówki z domową herbata.

My oddawaliśmy się zaplanowanym zajęciom, w zakątkach stawu, pod oberwanymi brzegami, w mętnej, cieplej wodzie rozpoczynaliśmy połowy. Nie da się ukryć, że wkraczaliśmy na wojenną ścieżkę z licznymi wędkarzami siedzącymi nad brzegiem stawu. Nasze połowy wywoływały istne tsunami, a wrzaski i nawoływania mogły obudzić przysłowiowego nieboszczyka, nie ma się zatem co dziwić, że protestowali, grozili nie byle jaką torturą polegająca na wyrwaniu nóg z... Odgryzaliśmy się, skutecznie podkpiwając z leszczynowych wędek i zbyt chudych robaków, tym niemniej nie kryliśmy podziwu i zainteresowania każdą złowioną przez wędkujących

sztuką. W tych warunkach złapanie ciernika - podstawowego celu naszej wyprawy - dawało pełnię szczęścia, było wydarzeniem, o którym czy chcieli czy nie, dowiadawali się wszyscy obecni nad stawem. Z emocji nie czuło się nawet bólu po ukłuciu ostrym grzbietowym kolcem, a to czasami kończyło się tragicznie (dla ciernika), gdy szczęśliwiec zaskoczony obroną zastosowaną przez zestresowaną rybkę nadużywał siły i ta ginęła zgnieciona lub wykorzystując zaskoczenie przeciwnika odzyskiwała wolność i umykała zdeorientowanemu poławiaczowi w trawę lub z powrotem do stawu.

Brodzący samotnie Jędrus dokonał nie lada wyczynu, wyławiając z odmętów „pływaka żółto-brzeżka”. Ten mieszkaniec stawowych głębin wywołał niemałą sensację, wkrótce tłumek otoczył Jędrusia, który z trudem bronił honoru przysięgając na wszystkie świętości, że potwór jest tutejszy, miejscowy a nie jakaś przybłęda przyniesiona dla wątpliwego poklasku. Kres dyskusjom położyła jeden z zadomowionych tam bywalców, który klasycznym „sznapsbarytonem” autorytatywnie stwierdził „panie, ep, przed wojną to tu pływali takie jak krokodyle, a jeden skurczybyk odgryzł nawet żydówce palec od nogi, o ten”.

Popularność i sława Jędrusia uległa szybko zapomnieniu za sprawą małego Mietka. Ten zaszedł od tyłu całkowicie zaangażowanego w połowy Stacha i zepchnął go z wysokiego brzegu do wody. Tumult, zamieszanie, ucieczka, pogoń, wrzaski wędkarzy były niczym wobec kaźni, jaka spotkała niefortunnego żartownisia. Mietek uciekając przed swym rozjuszonym kolegą wtargnął na eksterytorialny koc, na którym w towarzystwie uroczej blondyny wylegiwał się Pan Mieszysław. Zniewagi nie darował, kilkoma susami dognał naszego Mietka, wziął go pod pachę jak zwiniętą gazetę, zaniósł nad staw i jak kawałek drewna, wrzucił do wody. Nie byłoby w tym nic złego, ale złośliwiec wybrał najbardziej nieprzyjazne miejsce, błotniste rozlewisko. Mietek gramolił się, wrzeszcząc na całe gardło, a jego ociekająca czarnym szlamem postać dziwnym trafem nie wywoływała w nikim współczucia. Dotarł wreszcie do w miarę czystej wody, w której opłukał się ze smolistej mazi, wrzeszczał jednak dalej niczym obdzierany żywcem ze skóry przez krwawych ludożerców. Okazało się, że nie bez powodu, bo podczas błotnej kąpieli naraził się zamieszkującym tam „końskim” pijawkom i dwie albo trzy przyssały się do krzywych Mietkowych nóg. Jakiś się to skończyło, ktoś litościwy a może miłosierny dopomógł, a z Mietkiem aż do powrotu mieliśmy spokój.

Tymczasem słońce sięgało już horyzontu, zbieraliśmy pospiesznie nasz dobytek, dokładając do słoików jakieś czarne ślimaki, wodorosty z najważniejszą „moczarką kanadyjską” i w drogę. A było daleko, nogi bolały, mrok gęstniał w nieznanych uliczkach, jeszcze zamknięty przejazd kolejowy, głęboki kasztanowy cień Alei Wolności.

I wtedy w Mietku odżyła wieczna przekora, niby to przypadkowym ruchem stłukł Staśkowy słoik z kilkoma pięknymi ciernikami. Rozpacz i wściekłość to jedyne, co może towarzyszyć takiej chwili. Jeden Marek nie stracił głowy i w gęstniejącym mroku próbował odratować nieszczęsne cierniki. Nie było to łatwe, bo jak na złość, całe zdarzenie miało miejsce obok składów węgla, a tam ziemia jest czarna od rozsypanego węglowego miału. Cierniki przypominały morskie diabły, mimo to Marek przyjął je łaskawie do swojego słoja. Nie wiem, czy zawarli jakąś umowę o odstępnym czy też znaleźnym, najważniejsze, że „gadzina” została uratowana.

Zrozumiałe, że nasz niemal nocny powrót nie znalazł zrozumienia u rodziców, mimo że Mietek, który po dokonanych zamachu zbiegł do domu, łaskawie „uprzedził”, że już idziemy. Natomiast Jędrusiowe trofeum, ów „żółto-brzeżek” dokonał nocą rozboju, zaatakował niczego nie spodziewające się cierniki wyprawiając je do „krajny wiecznych łowów”. Opowiadał o tym następnego dnia ale jakoś nie chciał z nami przysiąc na kamiennych schodkach. Stasiak mówił mi potem w wielkiej tajemnicy, że choć Jędrusiowy ojciec nosi spodnie na szelkach, to rękę ma wyjątkowo dużą i ciężką.

Efekty tej odkrywco eksploracyjnej wyprawy przez bardzo długi czas stały w ogromnym słoju w drewnianym korytku za kuchennym oknem naszego mieszkania. Tu mogę ujawnić, że ze stawowej toni wyłowilem ślicznego złocistego karaska. Cierniki nie chciały zbyt długo żyć w szklanym więzieniu, natomiast karasek polubił nasz dom. Początkowo zmieniałem mu wodę, kontrolowałem przyrost zielonych glonów i moczarki, z czasem zapomniałem. Słój stał, parującą wodę uzupełniały deszcze, aż przyszła zima. Czy to za sprawą drewnianej osłony korytka, czy dzięki zagęszczeniu wodorostów woda w nim nigdy do końca nie zamarzała i z wiosną okazało się, że mój karasek jest cały i zdrowy, ba - nawet chyba trochę przytył, podrosł i zmężniał. Szkoda, że gdy wyjechałem na wakacje, mama zrobiła gruntowne domowe porządki, bo być może karasek żyłby do dziś...

*Zbislav Janikowski*

## DRUKARNIA KOHNA I ORDERFELDA

**Apeluję o ratunek dla niszczonego budynku drukarni Kohna i Oderfelda (ul. Waszyngtona, obok Urzędu Miasta).**

Najlepszym rozwiązaniem byłoby wykupienie go przez miasto, wyremontowanie za fundusze unijne (zabytkowy obiekt przemysłowy) i przeznaczenie na cele kulturalne (muzeum, galeria sztuki), jak to już nieraz proponowano i do czego obiekt się świetnie nadaje. Tak się obecnie z podobnymi obiektami postępuje na Zachodzie i w innych miastach w kraju - i daje to bardzo dobre efekty.

Niestety – nie u nas. Wartościowy obiekt pod bokiem Urzędu Miasta od wielu lat jest doprowadzany do ruiny. Obecny właściciel, prywatny przedsiębiorca, mimo monitów nie wykonywał odpowiednich prac zabezpieczających, zaś poprzedni - Bank Gospodarki Żywnościowej - długi czas nie robił zupeł-

nie nic, aby uratować interesujący architektonicznie zabytkowy gmach.

Tego rodzaju obiekty - jak to podkreślają specjalizujący się w tych zagadnieniach architekci i konserwatorzy - powinny być traktowane z wielkim wyczuciem, aby zachować ducha budowli. Trzeba zachowywać nie tylko zewnętrzną formę, ale i zabytkową substancję, ciekawą konstrukcję (charakterystyczne słupy we wnętrzach). Niedopuszczalne są na przykład plastikowe okna.

W przypadku drukarni Kohna i Oderfelda trzeba działać natychmiast, bo inaczej może dojść do katastrofy. Niedawno zawalił się duży fragment ściany od strony wschodniej. Na elewacji zachodniej okna, oryginalne w formie, zachowały drewnianą stolarkę. Obecnie cała ściana zachodnia jest przesiąknięta wodą od góry aż do parteru z powodu uszkodzeń pokrycia dachowego i braku rynien.

*Władysław Ratusiński*



Fot. Zbigniew Burda



## KRAM JUBILEUSZOWY

Marcową premierą „Kramu z piosenkami” Leona Schillera uczcił Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie jubileusz 80-lecia istnienia w naszym mieście stałego zespołu aktorskiego.

W roku 1927 częstochowski aktor Jan Otrebski skompletował grono aktorek i aktorów, którzy w sali Reduty przy ul. Strażackiej 8 (obecnie Katedralna 13) – na otwarcie tam stałego Teatru „Rozmaitości” - zagrali pierwszy spektakl, „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry. Działo się to 15 marca 1927 roku.

Z okazji tego jubileuszu oraz - przypadającego 27 marca Międzynarodowego Dnia Teatru - mogliśmy oglądać piękne wystawienie „Kramu z piosenkami”, przygotowane pod kierunkiem reżysera Laco Adamika. Jest to interesujący spektakl muzyczny, oparty na tradycyjnych polskich pieśniach i przyśpiewkach, w częstochowskiej inscenizacji w na nowo przygotowanych aranżacjach Janusza Frączka i Pawła Lucewicza. Scenografię do widowiska, w którym występuje cały zespół aktorski naszej sceny, wykonali Jana Hauskrechtova i Milon David. (mp)

## ZŁOTO MARKA ŚLOSARSKIEGO

Nagrodę Artystyczną Marszałka Woj. Śląskiego - „Złotą Maskę” – za najlepszą rolę męską otrzymał Marek Ślosarski. Przyznano ją za kreację w spektaklu „Jabłko” w reż. Tomasza Dutkiewicza. Gratulujemy!

## JUBILEUSZE

Wystawą w Muzeum Częstochowskim oraz specjalnym koncertem w Filharmonii Częstochowskiej uczczono jubileusz pracy artystycznej - pół wieku twórczości kompozytorskiej – **prof. Juliusza Łuciuka**

\*\*\*

35 lat pracy twórczej obchodzi **Jerzy Kędziora** – artysta o wielkim dorobku, laureat wielu nagród w kraju i za granicą. Jego prace znajdziemy w muzeach i galeriach wielu miast Polski oraz Stanów Zjednoczonych, Włoch, Francji, Belgii, Austrii, a także w Zbiorach Watykańskich. Jednym ze znaków rozpoznawczych Kędziory są rzeźby balansujące - postaci o nadnaturalnej wielkości, zawieszane na linach. Choć ważą zwykle po kilkadziesiąt kilogramów, sprawiają wrażenie unoszących się w powietrzu, wbrew prawom fizyki.

Jubileuszowa wystawa Jerzego Kędziory będzie składać się z dwóch części: Galeria Rzeźby w Poczesnej przygotowuje pokaz rzeźb balansujących, a w Miejskiej Galerii Sztuki poza rzeźbami zobaczymy także mniej znane szerokiej publiczności dokonania artysty: szkice, opracowania założeń pomnikowych, dorobek studyjny rozwiązań urbanistycznych i projektowych.

## W ALTÖTTING

W ratuszu niemieckiego Altötting, w obecności burmistrza Herberta Hofauera oraz licznie zebranych gości, została otwarta wystawa fotograficzna „Benedykt XVI w obiektywie częstochowskich fotografików”.

Ekspozycja złożona jest z 48 prac 11 fotografików i obrazuje czas przygotowania do wizyty Benedykta XVI w Częstochowie, ukazując radość i zadumę w oczach pielgrzymów oczekujących na przybycie Ojca Świętego przed szczytem Jasnej Góry - powiedział kurator wystawy Zbigniew Burda.

Przypomnijmy, na wystawie znalazły się prace, których autorami są: Krzysztof Świertok, Jakub Morkowski, Grzegorz Skowronek, Sebastian Adamus, Kamil Kożuch, Adam Markowski, Grzegorz Misiak, Marek Jezierski, Piotr Kras, Zbigniew Burda, Jan Kuliński (1939 – 2006).



Przy okazji wizyty prezydent Częstochowy, Tadeusz Wrona, przekazał burmistrzowi Altotting prezent w postaci fotografii częstochowskiego ratusza

## DUDA-GRACZ STAŁE OBECNY

W Arsenale Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie w grudniu i styczniu prezentowana była retrospektywna wystawa Jerzego Dudy-Gracza zatytułowana *Remanenty*. Na wystawie pokazane zostały wybrane prace ze wszystkich jego najważniejszych cykli malarskich i graficznych, m.in.: *Sacrum profanum*, *Motywy i portrety polskie*, *Dedykacje*, *Polska szkoła jazdy*, *Obrazy jurajskie*, *Chopinowi...* Dzięki temu można było zanurzyć się na długą chwilę w hermetycznym świecie wyobraźni Dudy-Gracza. Wystawę obejrzało ok. 5 tys. zwiedzających. Kolejna duża wystawa tego artysty zapowiedziana została na czerwiec br. w krakowskim Muzeum Etnograficznym.

Niejako za przedłużenie krakowskiej prezentacji dorobku częstochowskiego artysty uznać można list intencyjny podpisany 1 lutego br. przez prezydenta miasta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego i przedstawicieli Fundacji Conspero – organizatorów wystawy – w sprawie przekazania obiektu stanowiącego własność Gminy Miasta Kraków na potrzeby Galerii Autorskiej prof. Jerzego Dudy-Gracza. W najbliższym czasie zostanie przyjęty harmonogram prac zmierzających do powołania jedynej w Polsce Galerii Autorskiej tego jednego z największych współczesnych malarzy polskich.

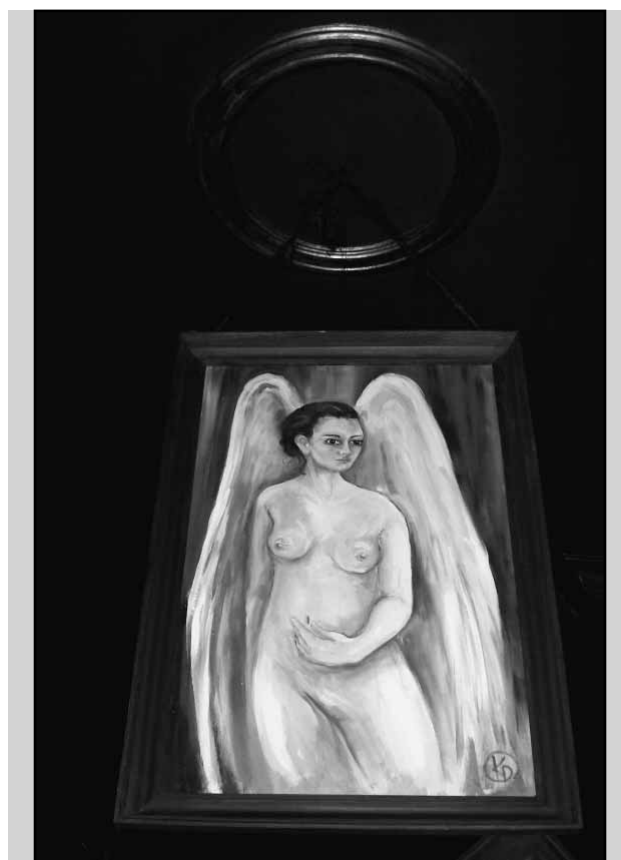
B.A. Symolon

## NASI W OFENSYWIE

*Katarzyna Pałcik: Anielice. Kawiarnia „Dekadencja” (styczeń 2007), „Skandal” (luty).*

Gościnne kawiarnie oraz stypendium przyznane uczennicy częstochowskiej Szkoły Sztuk Pięknych im. J. Malczewskiego, umożliwiły zorganizowanie wystawy obrazów, rysunku i instalacji zgrupowanych wokół tematu anielskiego wymiaru kobiecego ciała. Bohaterkom zaprezentowanych prac anielskie atrybuty – skrzydła, twarze dojrzewających cherubików i nieogarniona masa barwnych loków – przydane są w sposób naturalny, stanowią integralną część ich ciał. Skrzydła mają tę samą miękką namacalną cielesność co nogi, ręce czy piersi kobiet. Anielice nie można pozbawić żadnego z tych atrybutów bez konsekwencji okaleczenia. Osiągnięta przez młodą autorkę harmonia linii, barw i tematu jest czymś niezwykłym. Z anielicami Pałcik obcuje się przyjemnie. Są bowiem ciepłe i wyrozumiałe. Patrzą na nas ogromnymi otwartymi z ciekawości oczyma, niewymuszenie mrużą powieki, zatapiają się całe w łukowato wygiętym ciele, płyną wraz z secesyjną czerwoną suknią... Wnoszą do namacalnej rzeczywistości inny wymiar. Potrzebny.

B.A. Symolon





## PODPATRZONE, PODSŁUCHANE



Fot. Zbigniew Burda

*Jerzy Salwarowski, dyr. Filharmonii Częstochowskiej*

### KTOKOLWIEK WIE...

Redakcja pisma „Aleje 3” otrzymała anonimową informację jakoby nadeszła już Wiosna. Postanowiliśmy to sprawdzić, delegując specjalnego wysłannika z zadaniem zbadania wszelkich okoliczności sprawy. Podjął się tego Zbigniew Burda, a wynik swoich ustaleń przedstawił na prezentowanej fotografii. Załączył też opis do zdjęcia: „Wiosny nie spotkałem, ale jakieś ptaszki przyleciały. Nie wiem, jakie. Lepiej niech redaktor sprawdzi w atlasie.”



# WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 2

## Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

### UKRYTE PIĘKNO CZĘSTOCHOWY

Nie tylko Jasna Góra, Aleje, kamienice i skałki mogą inspirować artystów. Goszczący w naszym mieście od paru miesięcy Yoshihiro Nosa zaprezentuje swój nowy cykl – „Najpiękniejsze śmietniki Częstochowy”. Wszystkie 28 akwarel zostało namalowanych z natury. – *To niesłychane przeżycie – zapewnia pan Nosa. – Najpierw odnaleźć odpowiedni obiekt, potem go namalować, i dalej, szukać następnego. Wizyta w Częstochowie bardzo rozwinęła moją wrażliwość twórczą.* Niech każdy częstochowianin będzie świadom, że ma swój udział w wybitnej sztuce.

### GINĄCE RZEMIOSŁO?

Ostatnio jakoś niewiele słychać o przypinaczach. Młodszym czytelnikom przypominamy, że byli to osobnicy, którzy w sezonie pielgrzymkowym grasowali w okolicach Jasnej Góry. Podchodzili oni do niczego nieświadomych pątników i przypinali im znaczki, a następnie dawali do zrozumienia, że czekają na zapłatę. Podobno w dzisiejszych czasach można jeszcze spotkać przypinacza, tym niemniej ten specyficznie częstochowski proceder wydaje się być na wymarciu. A może by tak Urząd Miasta zadbał o podtrzymanie lokalnych tradycji i zatrudnił przypinaczy?

### SĄSIAD MARSZAŁKA?

W naszym mieście pojawił się Kazimierz Etlabora, absolwent krakowskiej ASP. Po jedenastu latach pobytu na Sycylii postanowił wrócić w rodzinne strony, a na powitanie chce podarować Częstochowie jedną ze swych najlepszych rzeźb. Jest jednak pewien problem. Kategorycznym życzeniem artysty jest, aby „Maratończyk z żyrafą na plecach” stanął na Placu Biegańskiego. Spiżowy sportowiec wraz z Naczelnikiem stanowiąby parę „strażników” ratusza. Tymczasem władze miejskie są sceptyczne wobec pomysłu. – *Moim zdaniem człowiekowi z żyrafą na grzbiecie nie przystoi stać obok Piłsudskiego. Jeżeli pan Etlabora koniecznie nalega, możemy poszukać innego miejsca – mówi anonimowy pracownik Urzędu Miasta. – Może na miejscu Pani Kowalskiej, ona przecież praktycznie się tylko obija.*

### SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

W związku z powodzeniem poprzedniego kursu dla młodych artystów, Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne spotkania. 13 kwietnia Robert Rzeszoto poprowadzi warsztaty pt. „Techniki malarstwa niemanualnego”, a miesiąc później jeden z czołowych pisarzy naszego regionu (w tej chwili jeszcze nie wiemy, który) zaprezentuje wykład pt. „Jak nie pisać”.

### PAŁKI PRZECIWKO „CHAPCIOM”

Teren Częstochowy został wyznaczony jako eksperymentalny obszar działania nowej służby policyjnej. Straż Językowa została powołana wspólnymi siłami MSW, MEN

i Ministerstwa Kultury. Funkcjonariusze tej formacji, ubrani w jasnozielone mundury i duże białe berety, będą patrolować ulice naszego miasta i karać mandatami za stosowanie nieprawidłowych wyrażań i zwrotów oraz za używanie przekleństw. Wobec opornych będą mieli prawo zastosować środki przymusu bezpośredniego, jako to: pałka służbowa, gaz oraz kajdanki. Karalne będą nie tylko błędne konstrukcje w mowie, ale i na piśmie (ogłoszenia, reklamy, gazety). Tak więc – drzyjcie, nieuki!

### WYBOISTA DROGA DO GENIUSZU

Czym imponują nam młodzi literaci? Zapalem i zarliwością, które choćby częściowo pokrywają ich niedostatki warsztatowe i braki w wiedzy o świecie. Jednak nie brakuje i takich, którzy, wzorem Hemingwaya, starają się najpierw coś przeżyć, zanim zaczną pisać. Obiecujący nowelista Robert Topinambur planuje w najbliższym czasie zostać skazany na około 5 lat więzienia za gwałt w Parku Staszica, popełniony wszelako nie dla prymitywnego zaspokojenia żądz, lecz po to, by w więzieniu nabrać nowych doświadczeń, przydatnych w przyszłej karierze literackiej. „Najpierw próbowałem coś zdefraudować – zeznał Topinambur naszemu korespondentowi w czasie ćwiczeń w parku – ale żyję za skromnie, żeby to wypaliło”. Dodał także, iż nie zamierza ograniczyć się wyłącznie do doświadczeń więziennych. Planuje zapisać się na kursy instruktorów hodowli kóz.

### KOLEJNY SUKCES SAMORZĄDU



Komisarz Jon van der Wontrobbe, który odwiedził nasz miasto w ramach realizacji unijnego programu Poprawa Przestrzeni Publicznej w UE, oświadczył, że na pierwszy ogień pójdzie ulica Hetmańska w Częstochowie. Ulica ta przed wojną wyznaczała granicę miasta, dziś peryferia leżą wiele kilometrów dalej. *To będzie piękny symbol – powiedział komisarz. – Przecież cała Polska z peryferii Europy trafiła do jej środka.* Według komisarza, żwir i piasek ofiarują nam Niderlandy. Na gwoździe i sztachety zostanie rozpisany przetarg.

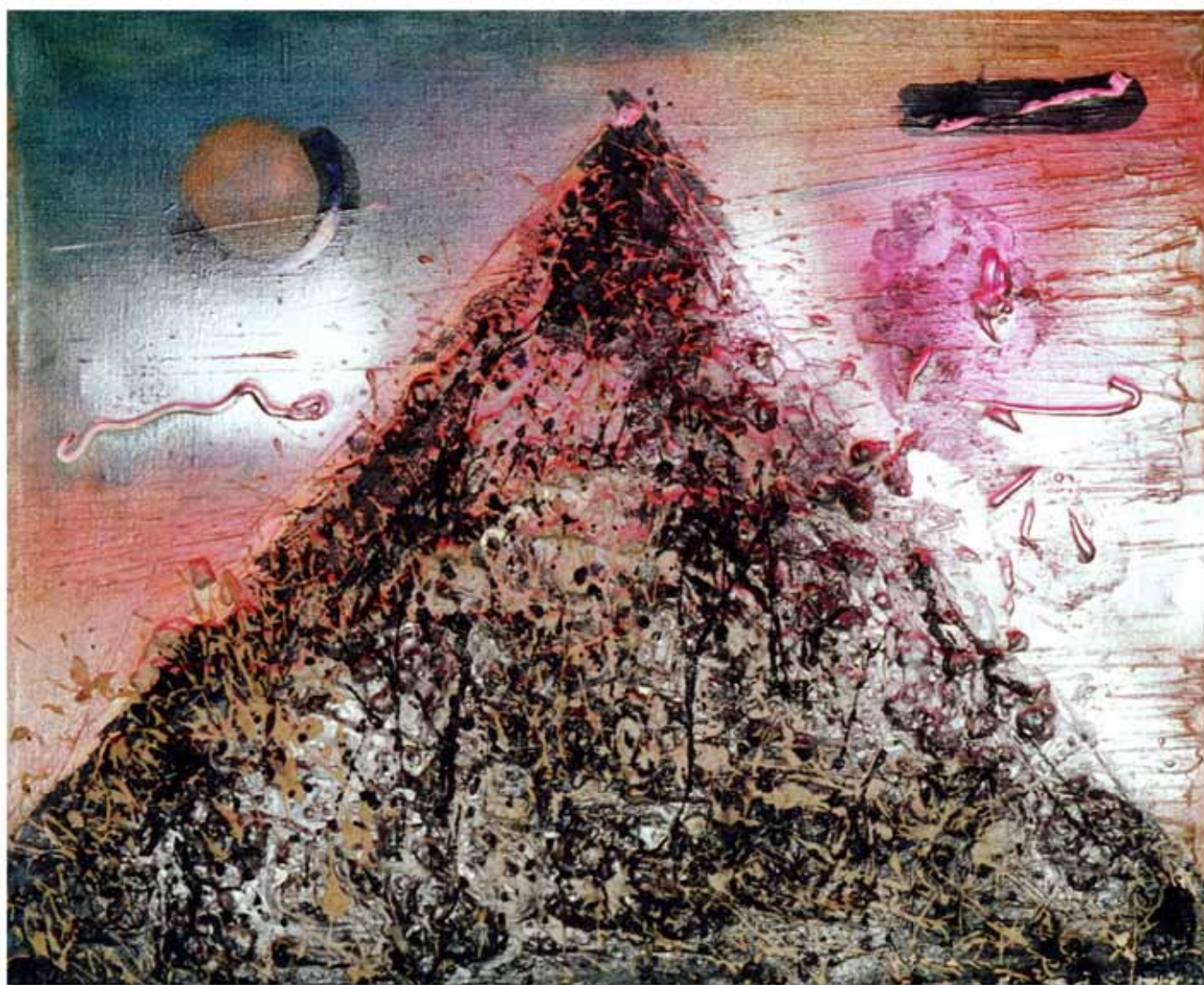




Przestrzeń prześwietlona, 1992

**Marian Panek** – ur. w 1953 r. w Częstochowie. Ukończył studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom w pracowni prof. Jonasza Sterna, 1976). Nauczyciel akademicki w Instytucie Plastyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Prowadzi zajęcia z malarstwa, rysunku i scenografii teatralnej oraz seminarium magisterskie w zakresie kultury materialnej od prehistorii do czasów współczesnych. Uprawia malarstwo i rysunek. Zrealizował ponad 40 scenografii w teatrach całej Polski.

Na okładce: Trójkąt pamięci, 1993



Magiczna góra pamięci, 1995



